Nr. 126. Lwów — Środa dnia 4 Czerwca. Rok 1902.

Wychodzi w dni powszednie o godzinie 3 po południu z datą dnia następnego.

Prenumerata z przesyłką pocztową wynosi w kraju i Austryi miesięcznie 2 k. 20 h. w Niemczech . . . . . . 3 „ — „ w innych Państwach . . . 4 „ — „ Za zmianę adresu dopłaca się 40 „

Prenumerata we Lwowie miesięcznie 2 k. Numer bieżący we Lwowie . . . 8 h. na prowincyi . . . . 10 h. Numera z poprzednich dni po 20 h.

Wszelkie DONIESIENIA PRYWATNE o zaręczynach, ślubach, weselnych, nabożeństwach żałobnych, pogrzebach, spisy nazw i zabaw prywatnych, reklamy dla balów, koncertów i koncertów, spisy składek, doniesienia o zgubach, zaginionych przedmiotach i t. d. po 1 k. od wiersza.

PRZEGLĄD

polityczny, społeczny i literacki.

OGŁOSZENIA I PRZEDPŁATĘ MIEJSCOWĄ przyjmuje wyłącznie: Ajencya dzienników Sołeckowskiego we Lwowie Pasaż Hausmana l. 9.

Ceny ogłoszeń: Zwyczajne ogłoszenia na czwartej stronicy: wiersz petitowy albo jego miejsce 20 h. W drobnych ogłoszeniach: tłustym petitem za każde słowo 4 h. tłustym garmondem „ „ 6 h. koresp. prywatne „ „ 6 h. Nadesłane na trzeciej stronicy: Ogłoszenia: wiersz petitowy albo jego miejsce . . . . 60 h. Reklamy po kronice wiersz petit. 1 k Ogłoszenia na czele numeru na pierwszej stronicy wiersz petitowy . . . . 60 h

Dziś: św. Kwiryna — Wasyłyja
Jutro: św. Bonifacego — Wozn. Hosp.

Adres Redakcyi i Administracyi: Lwów, ul. Sykstuska l. 45.

Naczelny Redaktor i Wydawca: Ludwik Masłowski.

Wschód słońca o g. 4 m. 8
Zachód „ „ 7 m. 47

Długość dnia godzin 15 minut 31
Przybyło dnia od wczoraj 1 min.

Pokój z Boerami.

Gorąco pożądana wieść nadeszła do Europy: wszyscy wodzowie boerscy podpisali protokół pokojowy. Od tej chwili Transwaal i Orania przechodzą pod panowanie angielskie i stają się samorządnemi koloniami Wielkiej Brytanii. Zanim nastąpi uregulowanie wszelkich stosunków, rządy będzie sprawował „komitet egzekucyjny", złożony w równych częściach z Anglików i Boerów. Biała ludność transwaalska i orańska ma prawo nosić broń i używać jej przeciw bandom grasujących murzynów. Zupełną amnestyę otrzymają wszyscy, którzy walczyli z Anglikami, z wyjątkiem tych, którzy nie podpiszą zgody na protokół pokojowy. Jeńcy powrócą, fermy będą odbudowane prawie wyłącznie kosztem angielskiego skarbu.

Takie są warunki pokoju. W swem wielkiem nieszczęściu mogą Boerzy nazwać się szczęśliwymi, że mają do czynienia z narodem angielskim, który umie być nieubłaganym wrogiem, ale jest także szczerym, szlachetnym przyjacielem. Gdyby taki protokół pokojowy podpisali Boerzy z Prusakami, dopiero od tej chwili zaczęłyby się ich Tantalowe męki. Anglicy przyrzekli Boerom zachować ich język w szkołach i wszystkich urzędach, a że dotrzymają słowa, to nie ulega żadnej wątpliwości. Jeżeliby zaś takie przyrzeczenie otrzymali od Prusaków, to spotkałby ich zawód. Oto Niemcy kilka lat temu, otrzymawszy od Anglików afrykańskie obszary naprzeciwko Zanzibaru, zobowiązali się utrzymać angielski język w tamtejszych misyach, tymczasem kilka dni temu związek wszechniemiecki wystosował do kanclerza Bülowa pismo, w którem utrzymuje, że panowanie angielskiego języka w misyach afrykańskich ubliża godności niemieckiego narodu, a kanclerz odpowiedział depeszą, w której przyznał, że istotnie „wielki naród niemiecki jest obowiązany wszelkimi sposobami krzewić w koloniach swój język i że rząd niebawem wyda odpowiednie rozporządzenia." Niezawodnie przypomną one metodę hakatystyczną, przypomną słynne oświadczenie Bismarka, iż przyrzeczenia królów pruskich nic nie są warte.

Skorośmy potrącili o Prusaków, to warto przypomnieć w chwili pokoju między Anglią a Boerami, że do wojny był Transwaal popchnięty przez dyplomacyę berlińską. Kilka lat temu rząd angielski popełnił jeden ważny błąd: odstąpił Niemcom ziemie Somalisów na wschodniem wybrzeżu Afryki. Pozyskawszy tę posiadłość, Prusacy zaraz zaczęli myśleć o jej rozszerzeniu, chcieli mianowicie zabrać sąsiednie ziemie nad rzeką Zambezi, a od Portugalii dostać kolonię Lorenzo-Marquez. Lecz ubiegł ich Cecyl Rhodes, który od murzyńskich kacyków kupił cały obszar nad rzeką Zambezi, nazwał go Rodesyą i utworzył stowarzyszenie eksploatacyjne, które zasłynęło pod nazwą Chartered Company. Oczywiście agenci pruscy zaczęli intrygować przeciwko tej kompanii, w skutek czego murzyni zrobili powstanie. Jednocześnie konsul niemiecki w Pretoryi jął przekonywać Krügera, że jeżeli Anglicy silnie się usadowią w Rodesyi, to już z trzech stron będą otaczali Transwaal i z czasem niechybnie go zabiorą. Podobne mowy konsul wygłaszał nawet publicznie, zachęcając Boerów do popierania murzyńskiego powstania w Rodesyi. Boerzy istotnie dawali tym murzynom broń i amunicyę, co spowodowało znany napad dra Jamesona, a kiedy go Boerzy pobili pod Krügerdorpem, cesarz Wilhelm telegraficznie winszował zwycięstwa Krügerowi. Odtąd już wyraźnie szło ku wojnie z Anglią, a Niemcy nietylko słowami zachęcali do niej Boerów, lecz pozwolili im werbować w Niemczech wysłużonych artylerzystów i korzystnie sprzedawali im wyroby Kruppa. Kiedy wreszcie p. Milner, gubernator kolonii Przylądka Dobrej Nadziei, przybył do Pretoryi, aby jako pełnomocnik rządu angielskiego domagać się praw obywatelskich dla „uitlanderów", to jest Anglików mieszkających w Transwaalu, oraz zażądał rozpuszczenia nagromadzonych wojsk, znowu konsul niemiecki nakłonił Boerów do odrzucenia angielskich żądań. Po tem wszystkiem wojna już była nieunikniona i rzeczywiście w kilka dni potem wybuchła. Boerzy jak na Zawiszę liczyli na niemiecką pomoc, otrzymali zaś tylko gazeciarskie współczucie i to wyrażane przeważnie paszkwilami na Anglików.

Po 32ch miesiącach rozpaczliwej walki zwątpili Boerzy w czyjąkolwiek pomoc i poddali się Anglikom. Swe zaufanie do agentów pruskich przypłacili utratą niepodległości. Taksamo my w końcu XVIII stulecia wyszliśmy na sojuszu z Prusami.

Wiec na cześć jubileuszu Ojca świętego.

Poznań, 28 maja.

Przed kilku dniami znalazłem się w Poznaniu.

Kto tego miasta dawno nie widział, tego przedewszystkiem uderzyć musi zmiana w jego zewnętrznym wyglądzie.

Starożytny gród stracił swój staroświecki, archaiczny charakter; odmłodniał, wyświeżył się, może nawet wypiękniał, ale ubyło mu tej sympatycznej powagi odwiecznego miasta, które jak bronzowe zabytki dawnych czasów, nosiło swoją patynę, swój meszek sędziwości czcigodnej.

Dzisiaj powiał po niem duch modernizmu i zdmuchnął z jego murów kurze przeszłości; wyrównały się ulice i bruki, zazieleniły skwery z wonnemi kwietnikami, popodnosiły kamienice i rozrosły budowle, których struktura przypomina nowy Berlin, dudnią po szynach wagony elektrycznego tramwaju, toczą się bez turkotu eleganckie landa i dorożki z taksometrami, wystawy sklepowe zadziwiają niekiedy okazałością i wytwornym szykiem pierwszorzędnych magazynów; jest się tu w Europie nowoczesnej z całym jej polorem zewnętrznym i wszystkiemi dogodnościami.

Nie trzeba nawet bardzo zazdrościć hotelu Żorża, kiedy się stoi w takim „Bazarze", który pod zarządem spółki akcyjnej nie stracił swojej tradycyi oberży dla obywatelstwa ziemskiego, a nabrał wielkomiejskiej cechy hotelu bez krzyczącego zbytku, lecz z wytwornym komfortem. Znać, że tu stają „panowie", przyzwyczajeni do wygód i od wielu lat mają swoje *pied à-terre*, a zbierając się w obszernej jadalni przy śniadaniach i obiadach, tworzą u wspólnego stołu jakby jedno towarzystwo, które się zna doskonale i zżyło się z sobą.

Ta mieszanina sali restauracyjnej z salonem recepcyjnym wytwarza osobliwą atmosferę, której się nie przywykło spotykać w hotelach, bardziej ruchliwych i uczęszczanych.

Przez ubiegłą sobotę i niedzielę „Bazar" roił się przybyłymi gośćmi a na tablicy przyjezdnych widniały nazwiska najznakomitszych rodów Wielkiego Księstwa; co krok spotykało się Radziwiłłów, Czartoryskich, Mielżyńskich Chłapowskich, Kościelskich, Kwileckich i wielu innych, którzy zjechali z wyjątkowego powodu do Poznania wraz ze swemi rodzinami na wielki wiec jubileuszowy, zwołany przez komitet obywateli pod przewodnictwem dwóch wielce zasłużonych osobistości, pp. Kazimierza Chłapowskiego z Kopaszewa i Adama Wolińskiego, adwokata w Poznaniu.

Wiec miał na celu uczczenie dwudziestopięciolecia pontyfikatu Ojca św.

Wszystkie dzienniki zamieściły odezwę, ze wszech stron Księstwa napłynęły fale ludu i w poniedziałek zebrało się 5 — 6000 „wiecowników", którzy po uroczystem nabożeństwie w kościele Farnym utworzyli wspaniały, imponujący pochód przez miasto ku miejscu ogólnego zebrania.

Powoli, krok za krokiem, sunął się ten olbrzymi wąż po bruku miejskim do Ogrodu zoologicznego, poważnie, cicho, w skupieniu wielkiem a z godnością potężną, jaką miewa majestat ludu, gdy w nim nie grają namiętności, lecz głębokie spoczywają uczucia; niby najeżona grzywa różnobarwna wznosiły się na czele tego wężowego pochodu malinowe, zielone, błękitne, żółte i innych kolorów chorągwie i sztandary wszystkich cechów i stowarzyszeń poznańskich.

Przodem szedł włościanin w granatowej sukmanie z czerwonemi wypustkami i dwaj przewodnicy z szeroką wstęgą przez ramię o barwach papieskich, żółtej i białej.

Tu i ówdzie połyskiwały guziki na mundurach i kolce na pikelhaubach strażników porządku publicznego, ale poczucie porządku i niezwykłej powagi było w sercach i umysłach tego wielotysięcznego tłumu, który sam siebie pilnował, aby nie zmącić nawet najlżejszym rozdźwiękiem uroczystego nastroju i podniosłości chwili.

W oknach, na balkonach, po obu stronach ulic, któremi pochód przeciągał, bez muzyki, śpiewu, nawet bez gwaru, zwykłego w takiej masie ludzi, stały w milczeniu tysiące widzów i spoglądały z jakimś wyrazem szacunku na tę żywą, nieskończenie długą kolumnę, która niosła w sercach hołd dla głowy Kościoła Katolickiego.

Słońce świeciło pogodnym, ale melancholijnym jakimś blaskiem z nieba, jak gdyby „złote oko dnia jasnego" zachodziło wilgotną mgłą na ten widok...

Szliśmy tak z pół godziny od kościoła wzdłuż całego miasta aż po za dworzec centralny kolei, gdzie rozciąga się Ogród zoologiczny, nie bardzo ze względu na swą nazwę odpowiedni dla takiego zebrania, ale posiadający w przestronnym budynku jedyną salę takich rozmiarów, by w niej się dało pomieścić stojąco 2—3.000 osób.

Fala ludu wlała się do wnętrza i wypełniła całą salę; na galeryach zajęły miejsce damy, które obawiały się zbytniego tłoku, na trybunie przybranej w kwiaty i chorągwie dokoła biustu Leona XIII, ustawiono krzesła dla dostojniejszych „wiecowników", dla komitetu, mówców i chóru, który przy towarzyszeniu fortepianu i fisharmonii wykonać miał jubileuszową Kantatę, skomponowaną przez ks. dra Surzyńskiego z Kościana do słów wspaniałej Ody Ojca św. „Na powitanie nowego wieku", w wybornem tłumaczeniu prof. Czubka.

Dano znak i tłum się uciszył; jedno słowo kierowników, jedno skinięcie ręki wystarczało, by te fale głów ludzkich ułożyły się spokojnie, cofnęły lub skupiły w większym porządku.

W tłumie była imponująca karność i posłuszeństwo, bez śladów oporu, pomimo tego, że tłum ów składał się z żywiołów bardzo różnolitych i że o sukmanę chłopską ocierał się tużurek inteligenta, o marynarkę robotnika frak wytwornego panicza, o wyszarzaną okrywkę rzemieślnika sutanna księdza; wszystkie warstwy i wszystkie stany miały tu swoich przedstawicieli. Nie znać było ani wyższych, ani niższych w hierarchii społecznej, byli tylko wierni synowie Kościoła, którzy się zebrali, aby uczcić jubileusz sędziwego Namiestnika Chrystusowego i oddać hołd „wielkiemu Papieżowi".

Ta chwila i to poczucie zatarły wszelkie granice stanów, osobistości i stronnictw na wiecu jubileuszowym, nastroiły podczas uroczystości wszystkich na jeden zgodny ton i wytworzyły piękną harmonię, która, niestety, tak rzadkim bywa objawem w społeczeństwie naszem.

Kompozytor w sutannie, ks. Surzyński, podniósł pałeczkę i zabrzmiała kantata, melodyjna, poważna, śpiewana w zgodnym chórze głosów amatorskich; melodya płynęła dźwięcznym potokiem, ale brakło jej dostatecznej potęgi i siły, aby sprostać słowom tekstu, gdy poeta w tyarze wołał z natchnieniem:

> W jakiejże bezdni ohydnego błota,
> Z pychą bez granic tarza się ślepota
> Robaku ludzki! czcij Boskie przykazy,
> Co po wiek wieków bez zmiany i skazy!

Tak samo zabrakło pieśni polotu wyższego i głębszego odczucia słów:

> Jezu, co dzierżysz przyszłych lat koleje,
> Niech się Twa łaska na wiek nowy zleje,
> I niech, skruszone Twymi — Panie — cudy
> Czynią poprawę zbuntowane ludy!
> Ty rozmnóż zgodę i daj czas spokojny,
> Niech raz ucichną rozterki i wojny,
> Potłum o Jezu złego panowanie
> I strąć, skąd przyszło, w piekielne otchłanie!
> Daj władzcom świata myśl jedną i zdanie
> I niech Twe zawsze pełnią przykazanie;
> Niech będzie jeden pasterz i owczarnia,
> Niech jedno światło cały świat ogarnia!
> Otom u kresu: z Twej łaski jam stary —
> Lat dziewięćdziesiąt — więc dopełnij miary!
> I spraw o Panie, niech nie będzie płona
> Modlitwa sługi Twojego Leona!

Prawda, że niepospolitego potrzebaby talentu, aby w muzyce oddać godnie uczucia i wysoki nastrój takiej Ody; sprawiła ona jednak swą treścią wrażenie i w kompozycyi ks. Surzyńskiego poddała ton, w którym utrzymał się już w dalszym ciągu uroczysty nastrój zgromadzenia.

Pan Kazimierz Chłapowski w krótkich, lecz treściwych słowach zagaił wiec, proponując na jego marszałka Ferdynanda ks. Radziwiłła, dzielnego obrońcę ludu polskiego przed germanizacyą w parlamencie niemieckim, na wice-marszałków ks. prałata Ponińskiego i szambelana Cegielskiego, na sekretarza współredaktora *Dziennika Poznańskiego*, p. Franciszka Krysiaka i kilkunastu ławników.

Rozpoczęły się tedy przemówienia; na katedrę wstępowali po kolei wybrani mówcy i prelegenci, sławiąc żywot, zasługi, rozum, czyny i panowanie Leona XIII. Ks. prałat Jaskulski z Biezdrowa skreślił życiorys Ojca św., dr. Paweł Gantkowski mówił o stanowisku dzisiejszego Papieża w kwestyi socyalnej, mecenas Wolański świetną wygłosił mowę na temat Kościoła i narodowości, Maciej hr. Mielżyński rozumnie i przekonywająco tłumaczył obowiązki społeczeństwa wobec głowy Kościoła katolickiego, wreszcie robotnik Franciszek Łuczyński wyraził cześć dla Leona XIII, jako przyjaciela klas pracujących.

Wszystkie przemówienia natchnione były głębszą myślą i szczerością uczucia, we wszystkich brzmiała podstawowa nuta gorącej wiary, przywiązania do Kościoła i czci dla jego głowy widomej.

Okrzyki na cześć Ojca św. rozlegały się, jak salwy, z potężną mocą i zapałem, a z taką zgodnością, tak rytmicznie, jak gdyby na komendę wyrywały się z przepełnionych serc i miały dolecieć aż do podnóża Stolicy Apostolskiej.

Była chwila prawdziwie wzniosła, której wrażenie głęboko zapaść musiało w duszę obecnych; w połowie wiecu przybył JE. X. arcybiskup Stablewski na salę.

Torowali mu drogę członkowie Towarzystwa strzeleckiego w mundurach i kapeluszach z pióropuszami; tłum się rozstępował i swego arcypasterza witał gromkiemi okrzykami „Niech żyje!"

Dostojnik duchowny w purpurze, ze złotym łańcuchem na piersiach, z kosztownym sygnetem na palcu, wspaniale sprawiał wrażenie, jako książe kościoła; rozumna twarz o bystrem, energicznem spojrzeniu ma w sobie coś z Matejkowskich typów i wraża się w pamięć każdemu, kto ją chociaż raz widział.

X. arcybiskup poznański przechodził długą i uciążliwą chorobę, ale nie znać na nim śladów niemocy, którą usprawiedliwiał się w swojem orędziu, że osobiście nie przemawia do wiecu; odczytał je jeden z kanoników kapituły, ale kiedy nadeszła właściwa chwila po skończeniu wszystkich przemówień, książe Kościoła wszedł na trybunę, podniósł ręce i głosem donośnym, pełnym jakiegoś przejmującego brzmienia, udzielił zebranym błogosławieństwa.

Kilkutysięczny tłum padł na kolana.

— Błogosławię was!... wytrwajcie w wierze, w przywiązaniu do Kościoła i Stolicy Apostolskiej, w wierności i miłości do Ojca św. Leona XIII! — mówił w krótkich, ale mocnych wyrazach; — ukochani synowie moi, miłujcie się nawzajem!... o to was błagam. Nie powtarzajcie tych słów, jako czczych wyrażeń, ale trzymajcie się tej zasady, która jest przykazaniem Bożem w życiu, we wszystkich sprawach, prywatnych czy publicznych. Wytrwajcie w wierze i miłości!... Błogosławię was w imię Ojca, i Syna, i Ducha świętego!

— Amen! — odezwało się, jak z jednej piersi wiecowników i dreszcz przeszedł po całem zgromadzeniu; głębokie wzruszenie malowało się na twarzach, znać było, że zadrgały wszystkie serca i pokrzepione oddźwiękły, niby spiżowy dzwon:

— Wytrwamy!...

Potem Ferdynand ks. Radziwił, tak samo, z wielką godnością, jak otwierał wiec, zamknął go podziękowaniem dla komitetu i wszystkich uczestników, zażądawszy od zgromadzonych upoważnienia dla pp. Stanisława Chłapowskiego z Szołder i Stefana Cegielskiego, którzy udają się do Rzymu, aby tam u stóp tronu papieskiego złożyć powinszowania i wyraz uczuć całego społeczeństwa w Wielkiem Księstwie Poznańskiem.

— Prosimy, prosimy! — zabrzmiały głosy tłumów i w tym samym porządku, w jakim wiecownicy zapełnili ogromną salę, zaczęły się rozpływać powoli gromady ludzi, unosząc w duszach podniosłe wrażenie przeżytej chwili, a na twarzach jakiś rozjaśniony wyraz zadowolenia i pogody.

Wiec udał się wspaniale i jak olbrzymi akord wysokiego stroju grać będzie długiem echem w sercach uczestników.

M. Gawalewicz.

Korespondencye.

Rzym, 25 maja.

Od czasu, jak inżynier Boni przed czterema czy pięcioma laty wziął się do poszukiwań archeologicznych na *forum*, coraz to nowe, niesłychanie cenne odkrycia wynagradzają za łożone trudy. Badania te sięgają coraz głębszych warstw, a świeżo w głębokości 3 metrów rozkopano grób z VIII wieku przed Chrystusem. Zawiera on kilka naczyń z palonej gliny, spalone kości ludzkie, trzy ziarnka bobu i jedno ziarno pszenicy. Jest to pierwszy grób z czasów założycieli Rzymu, posiada więc dla badań historycznych wielką bardzo doniosłość.

Wykopaliska lat ostatnich wykazały, że najgłębsze pokłady na *forum* przechowują świadectwa z historyi tego świętego dla dawnych Rzymian gruntu z owych jeszcze czasów, kiedy nie był on objęty granicami miasta, kiedy Rzym pierwotny ograniczał się do wzgórza Palatynu. *Forum* było wówczas trzęsawiskiem, tylko może wyższa jego część służyła za targ i za miejsce, gdzie straż wojenna mogła się gromadzić; trzeba o tem pamiętać, że na wzgórzu Kwirynału siedziało nieprzyjazne plemię sabińskie. Jest to epoka Romulusa. Via Sacra była wtedy jedyną drogą suchą przez bagna, a wzdłuż tej drogi podmiejskiej, według prastarego podania, stawiano groby.

Pomiędzy wykopaliskami na *forum* największą w ostatnich czasach sensacyę w świecie naukowym wywołał kamienny, obłamany stożek, pokryty napisem t. zw. bustrofedycznym, t. zn. pisanem tak, jak się orze, t. j. jeden wiersz od prawej ręki ku lewej, a następny od lewej ku prawej i t. d. Archeologowie włoscy stwierdzili, że jest to lex regia z czasów królów rzymskich, a zawiera przepisy, jakie wydał arcykapłan w sprawie składania ofiar bogini, zapewne Junonie Lucina. Stożek ten, zwany przez Włochów *il cippo*, sięga VII wieku przed Chrystusem, a jak się zdaje, uległ zniszczeniu podczas napadu Gallów (390 r. przed Chr.), kiedyto zaginęły najstarsze pomniki Rzymu, bo Gallowie przez 8 miesięcy niszczyli miasto i tylko twierdza kapitolińska — dzięki historycznym gęsiom — nie została przez nich zdobytą.

---

219)

HURAGAN

Powieść historyczna

przez

Wacława Gąsiorowskiego.

(Ciąg dalszy).

— Dosyć!... Słuchać!... U mnie będziesz nosił karabin, rąbał pałaszem, a skrobał lederwerki, bo inaczej *sacrebleu carramba* nie ma żartów!..

— Nie ma żartów.... według rozkazu!... — przytwierdził basem Żubr, spoglądając z tryumfem na osłupiałego Waśkę.

Żubrowa zawróciła z powagą ku chacie, w której była zostawiła Zośkę, mając za sobą męża z żołnierzem.

W drodze Waśka, maszerując za furyerem, odważył się zagadnąć szeptem.

— Stary.... co ona?!...

— Nie gadaj.... porucznik.... — odparł tymże tonem Żubr i pogrążył się cały, w miarowem stawianiu kroków.

Zośka szczerze ucieszyła się z ostatnich wypadków — ile radując się odnalezieniu Żubra.

Po krótkiej gawędzie o wydarzeniach nocnych — udano się natychmiast na poszukiwania owych stryjecznych, a odnalazłszy ich, rozlokowania się w schludnych izdebkach pod pałacem.

Imć pan Chryzostom Dobrzański, kancelista ordynacki, przyjął Żubrów całem sercem, a co żona jego pani Marcyanna, ledwie na miejscu usiedzieć mogła z nieustannej troski, aby gościom na niczem nie zbywało. Cichej kanceliścinie nieco dziwaczną się wydawała postać i zachowanie się krewnej, ale co pan Chryzostom — jeno palcami trzaskał z ukontentowania słuchając wynurzeń markietanki. A były one tyle obfite, ile nowa troska znów dokuczać zaczęła Żubrowej.

Znalazła męża, w Zamościu spocząć może, a potem?!... Co pocznie sama, ważniejsze, gdzie podzieje Zośkę. Prosta natura markietanki rozumiała, że ani dom kanceliściny, ani sadyba jaka w zaścianku drążkowo szlacheckim, to nie dla pułkownikówny.... Z drugiej strony wspomnienie o Floryanie spokoju jej nie dawało!... Myśl, iż musiałaby stracić z oczu ukochanego porucznika, spokoju jej nie dawała. Teraz zaś z podwójną siłą gnębić ją jęła.

Po południu, gdy pierwsze rozmowy, a poczęstunki minęły, Żubrowa wykiwała nieznacznie imć pana Chryzostoma do ustronnej izdebki i dalej żale swoje rozwodzić a o radę prosić.

Pan Chryzostom trząsł głową, trzaskał tabakierką, chrząkał znacząco — to i owo już wykoncypował, lecz do gustu markietance trafić nie mógł.

Kiedy tak rozprawiali — z oddali iść zaczął cichy, miarowy odgłos wojskowej kapeli. Z początku ledwie uchwytny, niewyraźny, zagłuszany gwarem ulicznym, aż stopniowo coraz dźwięczniejszy, pełniejszy. Za odgłosem tym, zerwała się nagle burza okrzyków i zatrzęsła uliczkami Zamościa.

Żubrowa, a za nią pan Chryzostom rzucili się do okien. Markietanka spojrzała i aż w ręce klasnęła z ukontentowania.

Był to korpus księcia Józefa, nadciągający z Janowa. Lecz nie to taką uciechą napełniło Żubrowę, jak widok jeźdźca zamaszystego, który na czele dwóch szwadronów jechał na szpicy pochodowej kolumny. Jeźdźcem tym był imć pan Józef Podhorodeński z Pliszczyna, dawny mecenas trybunału lubelskiego.

Markietanka zbiegła na dół, a stąd pobiegła naprzód dowiadywać się, kędy pan Podhorodeński kwateruje. Lecz nie łatwo było doń dotrzeć — ile że nadciągające wojska zatarasowały ulicę, a nadto na rynku deputacye obywatelskie witały wodzów, a ucztą podejmowały.

Żubrowa nie dała się atoli zbić z tropu. I tak zachodziła, a kluczyła, że między sztab się wcisnąwszy, imć pana Józefa dopadła i pokłoniła mu się.

Pan Podhorodeński zajął się szczerze Żubrową, wysłuchał cierpliwie opowiadania i rzekł po namyśle:

— Ot masz waćpani!... Statku było mało!... Wiem, wiem jak to, niby hajdamaczki, uciekłyście z domu pana Barnaby!... Cenię waćpani intencyę, ale samaś przyczyniła się do biedy powiększenia!... Hm!... Pannę Dziewanowską najlepiejby.... do pani Gotartowskiej.... krewną jej wypada! Chociaż kto wie.... Trzebaby.... się jej samej zapytać, co myśli, bo to widzę nie taka znów panna, co by się wodzić dała.... Ba — tylko w tem sęk — kiedy!?... Jutro rano parada ma być, a potem ruszymy dalej, kto wie, co wypaść może!... Czekajcie — to ja chyba do was wieczorem wpadnę. Pannę uprzedźcie!... Chwili nie ma czasu!... Jutro, kto wie, gdzie wyciągnąć przyjdzie!...

Żubrowa powróciła uspokojona nieco do izdebek. Późnym wieczorem nadszedł pan Podhorodeński i, rzecz krótko zagaiwszy, natarł żywo na Zośkę. Dziewanowska zbywała go odpowiedziami, dopiero, gdy pan Józef sam na sam z nią zostawszy, silniej nalegać zaczął, a całą grozę położenia przedstawiać — zmiękła nagle.

Rozmowa przeciągnęła się do późnej nocy. Żubrowa w przedsionku już drzemać zaczęła, kiedy nareszcie pan Podhorodeński wyszedł. Baba pobiegła za nim pytać. Mecenas był zasępiony.

— Cóż wam powiem!?... Źle jest i koniec.

— Wielmożny panie, aby nie opuszczaj!...

— Nie ma czego pod koszem chować — do klasztoru chce...

— Święty Antoni... do klasztoru?!

— Nie krzyczże asińdźka a słuchaj!... Tłomaczyłem, wystawiałem... zaparła się!... Sierotą jest — nikt jej tu zabraniać ani zezwalać nie może!...

— Paniusia moja, kapitanowa... mniszką... sacrebleu!...

— Cicho!.. Takie ma postanowienie!... Lepiej pod wodę nie iść, może ją samą odwiedzie... Dostaniecie odemnie pisanie do Warszawy... do siostry Agnieszki... u panien Wizytek...

— Jezu!...

— Odwieziecie ją tam!... W liście rzecz całą wyłożę!... Mam nadzieję, że tam wpłynąć potrafią... a jeżeli nie — ha — widocznie przeznaczenie!... Tymczasem dla panny to bodaj najprzystojniejsze schronisko!... Czasy ciężkie! Wam starym łacno — lecz co na nią, to złe czycha wszędzie! Wojna! Dziś nasza górą w Zamościu, a za dni parę może znów Austryaki tu będą...

— Warszawa także przecież Austryakiem obsadzona!...

— Prawda! Lecz was puszczą — a jak raz dostaniecie się do klasztoru, to i siedzieć możecie.

— Dlaboga! Zmiłowania nademną nie było!

— Bywajcie mi teraz! Na jutro rano rzecz całą wygotuję!.. Może i do księcia trafię po sukurs!... Zobaczymy!...

Żubrowa wracała do izdebek zalterowana, przygnębiona, złamana. Odbiegła ją i fantazya i żywość zwykła i przytomność. Wszystkie myśli a projekty, jakie była sobie w głowie ułożyła, prysnęły nagle, rozwiały się...

Dnia następnego Zamość zbudziły raźne pobudki wojskowe.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Ten pomnik autentyczny z czasów królewskich niezmiernie ucieszył historyków i archeologów włoskich, gdyż pozwolił im zatryumfować nad hyperkrytyką niemiecką. Jak wiadomo, Mommsen w „Dziejach Rzymu“ i w „Prawie państwowem rzymskiem“ dowodzi, iż cały porządek królów u Liwiusza jest wytworem wyobraźni, datującym z II wieku przed Chrystusem i że historya Rzymu zaczyna się dopiero skutkiem napływu greckich kolonistów. Obecnie rzecz ta inaczej się przedstawia. Rzym ma daleko starszą cywilizacyę! Stary Liwiusz ma słuszność, kiedy opowiada o królu Numie, o jego „Świętych prawach“. Rzym wyszedł z barbarzyństwa o całe dwa wieki pierwej, niż chcą Niemcy, a więc nie w V-tym wieku, ale w VII-ym wieku przed Chrystusem.

Mommsen, i wogóle uczeni niemieccy są tu teraz bardzo nielubiani. Niedawno jeden z tutejszych uczonych rzekł w prywatnej rozmowie: „Mommsen nie jest charakterem. Kiedyśmy zostali pobici pod Aduą w Abisynii w marcu 1896 r., Mommsen był wtedy w Rzymie i miał z tego powodu tylko złośliwe przycinki dla nas. To też do Rzymu już pewno nie przyjedzie“.

Niemniej także ubodły Włochów krytyki niemieckie i napaści na ministra Gwidona Baccelego.

Oceny, krytyki, artykuły uczonych niemieckich w różnych czasopismach, jak np. *Historische Jahrbücher*, *Berliner philologische Wochenschrift*, *Deutsche Rundschau*, częścią złośliwe, drażniące, często wyrażające się z lekceważeniem o tutejszej nauce i urządzeniach, wiele tu złej krwi narobiły. Wyrodził się silny duch opozycyi przeciw hiperkrytyce, przeciw obniżaniu cywilizacyi rzymskiej, odrzucaniu podań i jednocześnie — przeciw zbytniej, niedelikatnej, niejako z góry patrzącej, z miną protektoratu, ingerencyi niemieckiej nauki w sprawy rzymskie. Oprócz tego owi niemieccy archeologowie trudnią się pokątnym, tajnym handlem starożytnościami, wykopaliskami. Panów Petersena i Helbiga Włosi na tem kilkakrotnie złapali, skutkiem czego, prawo samodzielnego kopania nawet z rządowym nadzorem, zostało jeszcze więcej ograniczonem. Rząd włoski utrzymał w sile edykty ochronne kardynała Dorii z roku 1802 i zwłaszcza kardynała Pacca z roku 1820, obowiązujące na całym obszarze dawnego państwa papieskiego, mocą których wywóz przedmiotów sztuki i starożytności za granicę jest niedozwolony, bez specyalnego pozwolenia ministeryum.

Wykopaliska na *forum* potrwają jeszcze lat kilka, a z tego, co znaleziono, utworzone zostanie specyalne muzeum przy *forum*; wszędzie tutaj jest jeszcze, przy tak wielkiem bogactwie, wiele do zrobienia. Całe miasta etruskie są jeszcze nie odkopane. Na Palatynie mamy całą jedną jego część nietkniętą do rozkopania i rozpoznania.

Ksiądz Wawrzyniec Perosi jest jedynym we Włoszech kompozytorem muzyki kościelnej, na którym budują wielkie nadzieje. Jego oratoryum „Mojżesz“, które odegrano niedawno w teatrze Constanzi, stanowi wielki, znaczący postęp w jego twórczości. Jest to dzieło, zarówno rozmiarami jak i techniką, rzeczywiście wspaniałe. Składa się z prologu i trzech części. Nie jest to oratoryum biblijne, jak „Zmartwychwstanie“, „Boże Narodzenie“, „Rzeź niewiniątek“, poprzednie utwory Perosiego, ale jakby przejście z oratoryum do poematu melodramatycznego. Z pierwszego ma powagę, z drugiego wolny wybuch uczucia. Wszystkie osoby oratoryum są postaciami biblijnemi i tylko słychać głos Jehowy, pisany na pięć głosów barytonowych, śpiewających unisono.

Prolog: Spotkanie się Mojżesza z żoną Seforą. W pierwszej części Mojżesz słyszy głos Jehowy z krzaku płonącego. Jehowa wzywa go, aby się stawił przed Faraonem. Frazes muzyczny jest tutaj wspaniałym. Żona żegna Mojżesza, odprowadzają go służebnice (śliczny chór).

Druga część: Mojżesz przed Faraonem, grożący plagami egipskiemi. Wyprowadzenie z niewoli, ofiara jagnięcia (wspaniały chór dziewcząt).

Trzecia i najpiękniejsza część: Mojżesz z izraelitami w pochodzie do Ziemi obiecanej. Rozpoczyna ją piękny śpiew Mojżesza. Następuje potem tryumfalne przejście przez morze Czerwone, najście Faraona i zatonięcie jego wojsk, w końcu chór ogólny na cześć Pana, bardzo efektowny.

Szczególnie podnieść należy śpiew Sefory i solo Mojżesza w prologu, przegrywkę do II części i wreszcie cały finał.

Przyjęcie było entuzyastyczne. Ksiądz Perosi sam nie kierował orkiestrą i wogóle wykonaniem, ale był w teatrze, w loży parterowej, skąd go oklaski wyciągnęły na scenę.

Chcieliby tutaj, aby Perosi wziął się do pisania oper, ale on o tem słyszeć nie chce i pozostanie przy oratoryach. Po śmierci Mustafy, dożywotniego dyrektora kaplicy Syxtyńskiej, Perosi objął przewodnictwo kapeli papieskiej i przedewszystkiem przywróci śpiew gregoryański, a pozbędzie się sopranów męskich, którzy zresztą są już na wymarciu. Co do tego ma już formalne obietnice.

Przebywa tu obecnie garstka Polaków, specyalnie dla studyów. P. Adam Zakrzewski delegowanym jest z biblioteki Jagiellońskiej do biblioteki Watykańskiej i napisał teraz świeżo rozprawę o pochodzeniu Śgo Stanisława Szczepanowskiego. P. Darowski pisuje stale korespondencye do pism polskich.

Prócz już wymienionych, policzyć można kilkanaście osób przeważnie artystów-malarzy. Kółko to zbiera się w „Café Grece“, bardzo starej kawiarni, przy ul. Condotti, znanej z bywania w niej Adama Mickiewicza, którego portret wisi w kątku, zajmowanym przez Polaków. W kawiarni znajduje się parę pism lwowskich.

Henryk Siemiradzki, jako poważnie chory, nikogo, prócz najbliższych, nie przyjmuje.

Pokarmy włoskie nie smakują nam, Polakom. Gusta jednak nasze kulinarne zadowoli w zupełności jedyna kuchnia polska p. Węskównej, która ma tu pensyonat polski, składający się z ośmiu pokojów... W lokalu tym, bardzo obszernym i czystym, znajdującym się przytem blisko Watykanu, obok zamku Śgo Anioła (Via Lungo Tevere Castello Nr. 3, Scala B.), mogłoby się z łatwością i wygodą kilkunastu gości polskich pomieścić.

Rada państwa.

(Telegramy „Przeglądu“).

Wiedeń 2 czerwca. Wczorajsze posiedzenie Izby posłów rozpoczęło się o godz. $^{1}/_{4}$4. Prezydent zawiadamia, że wnioski nagłe Placeka i Klofacza na razie odłożono.

P. Daszyński i tow. stawiają nagły wniosek w sprawie rozruchów we Lwowie. Wnioskodawcy cytują doniesienia dzienników, że wojsko strzelało do robotników, przyczem wielu zabito i wielu zraniono. Wzywają prezesa gabinetu, aby dał Izbie natychmiast bliższe wyjaśnienia i zarządził ścisłe śledztwo.

Daszyński zabiera głos celem uzasadnienia wniosku. Zwraca uwagę prezydenta Izby, że nie ma w sali prezydenta ministrów, do którego właśnie cały wniosek się zwraca. Prosi, by prezydent Izby zawiadomił o tym wniosku prezesa gabinetu.

Hr. Vetter oświadcza, że sam to już uczynił i prezydent ministrów znajduje się już w drodze do parlamentu. Daszyński: Przed trzema godzinami wojsko dało pięć salw do strejkujących robotników we Lwowie. Taka strzelanina miała straszne skutki. Jak doniosły dzienniki w telegramach i telefonicznych informacyach, miało to taki skutek, że 15 osób utraciło życie, a 5 jest ciężko rannych. (Oburzenie wśród socyalistów). Wśród zupełnego spokoju rząd „cywilizowany“ dr. Koerbera prowadzi formalną wojnę ze strejkującymi robotnikami, przyczem pada ogromna ilość trupów i rannych i pokrywa ulice naszych miast. W obec zachowania się rządu, w obec dania tych 5 salw do robotników, którzy dotychczas zachowali się spokojnie, musimy zapytać rząd, czy o lwowskich zajściach jest dokładnie poinformowany, czy namiestnik dostał *plein pouvoir* do mordowania spokojnych obywateli. Chcemy wiedzieć, czy ten morderca, mieszkający w gmachu namiestnictwa...

Prezydent hr. Vetter przerywa mówcy, wzywając go do umiarkowania. Posła Elderscha przywołuje prezydent do porządku za nazwanie namiestnika galicyjskiego *Bluthund*.

Daszyński: Wobec zabójstw popełnionych w Tryeście i we Lwowie, gdzie pozabijano ludzi bezbronnych, musimy mieć dalsze wyjaśnienia. Niech prezes gabinetu powstanie i powie nam, co powiedział hr. Pinińskiemu po otrzymaniu wiadomości, którą niewątpliwie telefonem odebrał. Jeżeli prezes gabinetu sądzi, że tracić robotników można bezkarnie, to się mocno myli. Przedłożyliśmy wniosek nagły, by prezydent ministrów dał wyjaśnienia, ponieważ chcemy dojść źródła sprawy. Przecież wiem, że od tygodnia strejkujący robotnicy zachowują się wzorowo i ani razu dotąd spokoju nie zakłócono. Uchwalamy ogromne sumy na nową broń, a widzimy do jakiego celu broń ta służy. Wiemy, że austryacka armia zawsze dzielnie uciekała przed nieprzyjacielem, ale wiemy także, że ta sama armia wręcz bezwstydnie używa broni przeciwko ludności. (Prezydent hr. Vetter przywołuje Daszyńskiego za te słowa do porządku).

Daszyński zapytuje obecnego w sali, członka Koła polskiego p. Głąbińskiego, czy wie cokolwiek o jakim teroryzmie strejkujących robotników we Lwowie. Prof. Głąbiński zaprzecza.

Daszyński żąda ponownie wyjaśnień, ale tylko nie żadnych pięknych słów.

Po Daszyńskim zabrał głos prezes gabinetu dr. Koerber i rzekł: Wypadki, które dziś przed południem zaszły we Lwowie nie są mi dokładnie znane, wiem tylko tyle, co zawierają telegramy tutejszych gazet. Ja ze swej strony mogę tylko ubolewać, że się okazała konieczność chwycenia się takich środków. Ponieważ jednak bliższe okoliczności zajścia jeszcze są zupełnie nieznane, zdają mi się przedwczesnemi tego rodzaju zarzuty, jakie poprzedni mowca tu wytoczył, a szczególnie przeciw sile zbrojnej, bez dokładnej znajomości stanu rzeczy, który musi być zbadany. Niech mi będzie wolno powiedzieć, że dotyczące władze państwowe z pewnością postępują z całą ostrożnością i że zarzut, jakobyśmy w tem widzieli przyjemność, by takimi środkami utrzymywać spokój, jest zupełnie bezpodstawny. Rząd jednak musi obstawać przy tem, by ustawy były szanowane i by ten, który ustawę narusza, także odpowiednio został pociągnięty do odpowiedzialności. Skoro będę miał dokładne informacye, nie omieszkam podać ich do wiadomości Wysokiej Izby. (Szmer na ławach socyalistów).

P. Daszyński woła: Mordują, a on nic nie wie! — P. Schuhmeier: Ładne ministerstwo. (Długotrwała wrzawa). Po przemówieniu Fressla dyskusyę zamknięto.

Zabiera głos jeszcze raz wnioskodawca Daszyński i oświadcza, że prezydent ministrów w takich wypadkach nigdy nie jest dostatecznie informowany. Według raportów policyjnych 6 huzarów zostało zranionych kamieniami, trzech robotników zostało od strzałów ciężko ranionych, a dwudziestu lekko rannych. W każdym razie dość, że strzelano. Mówca żąda, by sprawę jak najrychlej wyświetlono, ponieważ rząd ma obowiązek bronić zdrowia i życia obywateli.

Następnie nagłość wniosku i sam wniosek prawie jednogłośnie uchwalono.

P. Kathrein wnosi o zmianę porządku dziennego w tym kierunku, aby ustawę o podatku od biletów kolejowych, postawioną jako pierwszy punkt porządku dziennego, postawić na piątem miejscu. P. Berger wywodzi, że wniosek Kathreina ma być widocznem ustępstwem przed polityką wymuszenia, prowadzoną przez Czechów. Stronnictwo mówcy pragnie wiedzieć, kto tę politykę popiera i wnosi o imienne głosowanie nad wnioskiem p. Kathreina, a gdyby wniosek mówcy nie utrzymał się, żąda stwierdzenia liczby głosów.

Wniosek imiennego głosowania nie zyskał dostatecznego poparcia. Stosunek głosów, którym wniosek Kathreina przyjęto, był 216 przeciw 35. (Ironiczne oklaski u Schönerorowców).

P. Schönerer woła: Winszuję panom Czechom tego powodzenia. — P. Iro mówi: Kierownictwo Izby spoczywa teraz w rękach Fresla! (Śmiech).

Izba przechodzi do porządku dziennego, mianowicie do sprawy ulg podatkowych dla domów z taniemi mieszkaniami robotników. Po przemówieniu referenta p. Chiarego, p. Hybeš uzasadniał wotum mniejszości. Żądał rękojmi, że pomieszkania takie nie staną się środkiem, dającym przedsiębiorcom w rękę broń do walki. Na tem dyskusyę przerwano. Dr. Koerber przedkłada sprawozdanie austryackiej deputacyi kwotowej o rokowaniach z węgierską w sprawie wysokości kwoty.

Następne posiedzenie dziś o godz. 11tej rano.

Traktat pokojowy.

(Telegram „Przeglądu“).

Londyn 3 czerwca. Posiedzenie Izby gmin. Izba przepełniona. Ministra wojny Brodricka, pierwszego lorda skarbu Balfoura i ministra dla kolonii Chamberlaina powitano gorącymi oklaskami, szczególnie Chamberlain był przedmiotem demonstracyjnych owacyj. Zaraz na początku posiedzenia lord Balfour odczytał następujący protokół pokojowy, podpisany w Pretoryi, a przyjęty przez rząd angielski.

Art. I. Boerzy, stojący pod bronią, mają natychmiast broń złożyć i oddać wszelką broń, działa i amunicyę, które się znajdują w ich posiadaniu lub pod ich kontrolą. Zrzekają się oni wszelkiego dalszego oporu przeciw królowi Edwardowi VII, którego uznają jako swego prawowitego władzcę.

Art. II. Wszyscy Boerzy, stojący pod bronią w Transwaalu i w kolonii orańskiej, oraz wszyscy jeńcy wojenni, którzy obecnie znajdują się po za granicami Afryki południowej, oraz Boerzy, którzy oświadczą, że przyjmują stanowisko poddanych króla Edwarda, zostaną napowrót przeniesieni do południowej Afryki, skoro tylko środki komunikacyjne będą zapewnione.

Art. III. Boerzy, którzy się poddadzą, nie zostaną pozbawieni ani wolności osobistej, ani własności. (Oklaski na ławach opozycyjnych).

Art. IV. Przeciw Boerom, którzy się poddadzą, nie będzie wdrożone ani postępowanie cywilne, ani karne za czyny, popełnione w związku z wojną. Klauzula ta nie odnosi się tylko do tych, którzy są oskarżeni o naruszenie przepisów wojennych.

Odezwa.

Przebywając od paru lat w charakterze misyonarza lub proboszcza w Brazylii (w stanach Parana i S. Catharine), przekonałem się dowodnie, że wprawdzie osadnik polski swoją ciężką a wytrwałą pracą zdobył sobie kawałek chleba pewny, tak, iż o głodzie lub nędzy u niego mowy być nie może, jednakże z drugiej strony zupełny prawie brak szkół polskich nasuwa uzasadnioną obawę, iż młode pokolenie wśród odwiecznych lasów amerykańskich umysłowo i moralnie zdziczeje na wzór swych sąsiadów „kaboklów“, dawnych osadników brazylijskich.

Szkoły zwyczajnego europejskiego typu, jak doświadczenie przekonało, mogą istnieć z powodzeniem tylko po miastach bardzo dotąd nielicznych. Dla kolonij, gdzie dom od domu jest w znacznem oddaleniu, przeciętnie około pół kilometra, jest to typ niepraktyczny. Musimy tam urządzić internanaty z możliwie najkrótszym czasem trwania nauki i przy uwzględnieniu największej taniości. Produktów bowiem spożywczych kolonista dostarczy w obfitości, lecz pieniędzy nie da, bo o nie od dwóch lat bardzo trudno.

Przy takich warunkach pracy pedagogicznej i nauczycielskiej mogą się podjąć tylko kongregacye zakonne, pracujące nie dla zysku, a dla idei, z zapomnieniem o sobie i wielu wymaganiach cywilizacyjnych.

Pierwszą próbę zakładu tego rodzaju mam zamiar urządzić w obecnej mojej parafii Rio Vermelho. Lecz chociaż utrzymanie zakładu jest zapewnionem, pierwsze koszta, tj. wyekwipowanie, podróż, nabycie kawałka ziemi w pobliżu kościoła, zakupienie podręczników i innych pomocy naukowych — przewyższa możność doraźną tak moją, jak i moich parafian. Dlatego też odwołujemy się do ofiarności zacnych Rodaków ze Starego Kraju, prosząc o pomoc materyalną na cel powyższy.

Popierając sprawę oświaty ludowej w koloniach polskich w Brazylii, szanowni Rodacy złożą dowód nietylko solidarności narodowej, ale i tego, że umieją patrzeć w dalszą przyszłość i dla tej przyszłości pracować. Niemieckie szkoły w Brazylii otrzymują stały coroczny zasiłek od swego rządu, każda 500, 600 i więcej marek, i Rusini na cele oświaty swoich rodaków amerykańskich zebrali też obecnie dość pokaźną sumę. Mam nadzieję, że Polacy nie okażą się niższymi od nich w pojmowaniu swych żywotnych interesów.

Ofiary na szkołę polską w Rio Vermelho, przyjmuje administracya niniejszej gazety, oraz niżej podpisany w hotelu Francuskim od godz. 4-tej do 6-tej.

X. Cezary Wyszyński
proboszcz kolonii polskiej Rio Vermelho w Brazylii.

KRONIKA.

Lwów 3 czerwca.

Strejk robotników budowlanych. Wczoraj o godzinie w pół do 4ej po południu zebrało się w ratuszu kilkunastu majstrów i delegatów robotników strejkujących. Zgodzono się, aby płaca robotników wynosiła 1·50 K. dziennie, a robotnic 1·10. O godz. 4ej odbyli zgromadzenie strejkujący i uchwalili wysłać deputacyę do p. namiestnika, która się natychmiast udała do namiestnictwa i prosiła p. namiestnika, aby wpłynął na pracodawców, iżby ci się zgodzili na żądania robotników. Hr. Piniński obiecał wywrzeć wpływ na pracodawców, ale żądał, aby strejkujący zachowali się spokojnie.

Wieczorem i w nocy panował w mieście spokój. Po mieście krążyły silne patrole policyi, żandarmeryi i wojska.

Na oddziale prof. Ziembickiego w szpitalu powszechnym zmarły dzisiejszej nocy trzy osoby z pośród piętnastu rannych, odstawionych wczoraj przez policyę lub stacyę ratunkową po znanej wczorajszej walce między huzarami a robotnikami budowlanymi. Prof. Ziembicki donosi nam mianowicie, że umarła niewiadomego nazwiska kobieta, licząca lat mniej więcej 40; sądząc z ubrania, wnosić należy, że była ona zarobnicą, a podczas szarży huzarów dostała kopytem w głowę. Następnie umarł robotnik Jan Sieradzki, liczący także około lat 40; miał on od uderzenia kuli zgruchotaną kość udową. Wreszcie trzecią osobą, która umarła, był niejaki Anschel Igel, żyd; dostał on kulą w pachwinę, wskutek czego nastąpił krwotok wewnętrzny. Wreszcie jest jeszcze jedna ofiara wczorajszych rozruchów, niejaki Lisz, czternastoletni żydek; kula rewolwerowa przebiła mu czaszkę i osiadła w mózgu. Jest mała nadzieja uratowania go. Ponieważ z rewolwerów strzelali nietylko podoficerzy huzarscy, ale i socyaliści, przeto dotąd jeszcze nie zbadano, od kogo otrzymał on ten postrzał. Pozostałych 11 rannych bądź od kul, bądź od pałaszy, a znajdujących się na oddziale prof. Ziembickiego, ma się zupełnie dobrze.

Oprócz tych ofiar, znajdujących się w szpitalu na oddziale prof. Ziembickiego, należy jeszcze zapisać zgon niejakiego Mikusińskiego, stróża kamienicznego. Dostał on kulą tak nieszczęśliwie, że przeszyła mu ona wątrobę. W skutek tego umarł w parę godzin potem w chwili, gdy go na noszach transportowano do szpitala.

Rannych ciężko jest również kilkunastu huzarów. Jednego z nich nie ma najmniejszej nadziei utrzymać przy życiu.

Do chwili, w której zamykamy nasz dziennik, odbywa się w ratuszu konferencya wspólna robotników z pracodawcami. Tłumy zalegają rynek. Podobno pracodawcy zgodzili się podnieść płacę murarzy z 2·80 K na 3 K dziennie.

Morderstwo i samobójstwo. Wczoraj wieczorem o godz. 10-ej w domu przy ulicy Gródeckiej l. 75 strzelił dwukrotnie z rewolweru do swojej narzeczonej, Felicyi Nazarkiewicz, czeladnik ślusarski, Władysław Jańczyk. Pierwszy strzał był celny; kula utkwiła tuż pod sercem Nazarkiewiczówny; drugi strzał chybił. Wtedy Jańczyk skierował lufę ku sobie i wystrzelił również dwa razy; jedna kula przeszyła mu krtań, druga utkwiła w piersi. Uwiadomiona o wypadku stacya ratunkowa przybyła natychmiast i po udzieleniu rannym pierwszej pomocy przewiozła oboje do szpitala powszechnego. Stan Jańczyka jest beznadziejny, natomiast Nazarkiewiczównę może uda się utrzymać przy życiu.

Powód, który skłonił Jańczyka do strasznego czynu, był następujący: Przed kilku tygodniami zaręczył się z Nazarkiewiczówną i miał się już wkrótce połączyć z nią ślubem małżeńskim. Tymczasem Nazarkiewiczówna przekonała się, że on używa chętnie napojów wyskokowych. Przed kilku dniami zobaczyła go nawet zupełnie pijanego, wychodzącego z jakiegoś szynku. Przerażona odkryciem tego nałogu u swego narzeczonego, odesłała mu pierścionek zaręczynowy. To zerwanie stosunku z ukochaną tak wziął sobie do serca Jańczyk, że postanowił narzeczoną swą zamordować, a sobie odebrać życie. W tym celu przyszedł wczoraj wieczorem do domu opiekunów Nazarkiewiczówny, udał się z nią do osobnego pokoju, wśród rozmowy wyciągnął nagle rewolwer z kieszeni i dokonał wyżej opisanego czynu.

Strejk młodzieży politechnicznej. Z Wiednia nadchodzi wiadomość, że minister oświaty dr. Hartel w załatwieniu sprawy ponownego strejku na politechnice lwowskiej ustanowi termin prekluzyjny, w którym słuchacze politechniki lwowskiej porzucą strejk i zaczną ponownie uczęszczać na wykłady — w przeciwnym bowiem razie nastąpi zamknięcie politechniki.

Zamknięcie szkoły politechnicznej pociąga za sobą następujące skutki: niewliczenie przerwanego kursu wszystkim słuchaczom na ten kurs wpisanym — przez niepotwierdzenie frekwentacyi. Brak frekwentacyi pociąga za sobą niemożliwość zdawania egzaminów — brak egzaminów sprowadza utratę stypendyów i utratę uwolnienia od czesnego na przyszłe półrocze. Utrata półrocza na politechnice pociąga w praktyce utratę całego roku, gdyż rówieśnicy z innych zakładów wysuną się w zajmowanych pozycyach o jeden rok naprzód.

Zmowa obecna na politechnice lwowskiej drogo może kosztować młodzież, rodziców i opiekunów!

O wybuchu gazów w kopalni w Borysławiu donoszą: Wielka katastrofa nawiedziła wczoraj rano kopalnie wosku ziemnego, należące do Länderbanku w Borysławiu. Z początku zdawało się, że pożar ogarnął wnętrze ich, dopiero po pewnym czasie zoryentowano się, że pożaru nie ma, a przyczyną wielkiego nieszczęścia był sam wybuch gazów. Mianowicie robotnicy zjechali na dół, nieprzeczuwając nic złego i nie zauważywszy żadnych zwiastunów katastrofy. I nic dziwnego, bo gazy zaczęły się wydobywać w ślepym chodniku, gdzie nikogo nie było, a dopiero, kiedy stopniowo posuwając się doszły do galeryi, w której pracowali robotnicy, zapaliły się z niewiadomej przyczyny. Nastąpił huk ogłuszający, straszliwe wstrząśnienie powietrza i cały zastęp robotników runął na ziemię. Stało się to wczoraj o godzinie 4$^{1}/_{2}$ rano w chodniku, który położony jest w horyzoncie 260 metrów poniżej powierzchni ziemi. Z porażonych wybuchem — o ile dotychczas wiadomo — zginęło na miejscu 19 robotników, czterech ciężko zostało poparzonych i poranionych, tak, że prawie nie ma nadziei utrzymania ich przy życiu. Ratunek wdrożono natychmiast. Na czele jego stanął sam dyrektor. Spuścił się on z narażeniem życia natychmiast na dno kopalni, ale wskutek duszących gazów omdlał i musiano go bez zmysłów wydobyć na wierzch.

Zdołano jednak uratować żywych czterech robotników, znajdujących się we wnętrzu kopalni.

Wiadomości urzędowe. Cesarz nadał zwyczajnemu profesorowi akademii weterynaryjnej i docentowi uniwersytetu drowi Józefowi Nusbaumowi tytuł zwyczajnego profesora uniwersytetu.

Minister sprawiedliwości przeniósł zastępcę prokuratora państwa Tadeusza Zakrzewskiego z Sambora do Lwowa, Józefa Jaworskiego z Wadowic do Przemyśla, Romana Lewickiego ze Stanisławowa do Lwowa; zamianował zastępcami prokuratora państwa w VIII kl. rangi zastępcę prokuratora Adama Schneidra we Lwowie, oraz adjunktów sądowych Czesława Wójcickiego z Przemyślan dla Sambora, Klemensa Kulczyckiego z Jaworowa dla Stanisławowa, Juliusza Kołczykiewicza ze Skolego dla Stryja, dra Stanisława Zagórskiego z okręgu lwowskiego wyższego sądu krajowego dla Lwowa, Remusa Sbierę z Seretu dla Suczawy. Przeniesiony zastępca prokuratora Teodor Przychocki z Rzeszowa do Nowego Sącza; wreszcie mianowani zastępcami prokuratoryi państwa w VIII kl. rangi adjunkci sądowi: Mieczysław Ujejski z Chrzanowa dla Tarnowa, dr. Stefan Cięglewicz z Jasła dla Rzeszowa i dr. Feliks Rosner z Andrychowa dla Wadowic.

Cesarz nadał staroście w Cieszanowie, Tytusowi Karchezemu, z okazyi przeniesienia na własną prośbę w stan spoczynku order Franciszka Józefa.

Rozstrzygnięcie konkursu. Onegdaj rozstrzygnięto w Warszawie konkurs ogłoszony w końcu roku zeszłego przez redakcyę *Gazety Świątecznej* na powiastkę dla ludu. Z nadesłanych stu kilkunastu utworów zalecono do wspólnego czytania 28, z tych atoli żaden nie nadawał się do I nagrody 300 rubli. Postanowiono rozdać połowę przeznaczonej sumy czterem pracom, a mianowicie: 75 rubli obrazkowi p. t. „Zuch baba“ (autorka pseudonim „Wila“), a po 25 rubli powiastkom „Pokuta“ (autorka „Wila“), „Antek Zawada“ Zygmunta Dutkiewicza i powiastce „Kwiat rodu“ (autor pseudonim „Jan Skorczak“). Prócz tego wyróżniono 4 prace. Pozostałe 150 rubli postanowiono zostawić do przyszłego konkursu.

W akademii rolniczej w Dublanach będą opróżnione cztery miejsca funduszowe, zupełnie wolne od wszelkich opłat na rok szkolny 1902/3. Podania wnosić należy do Dyrekcyi do dnia 15 lipca.

Konkursa rozpisują: Wydział krajowy w celu nadania stypendyum, przeznaczonego dla uczniów gimnazyalnych, z fundacyi X. Jana Szaflarskiego i Franciszki Czajkowskiej; podania do 20 lipca. — Magistrat m. Lwowa na dwa posagi po 2100 koron dla ubogich dziewcząt, sierót po rzemieślnikach, z fundacyi im. śp. Kaspra i Apolonii Boczkowskich; podania do 12 czerwca b. r. — Prezydyum sądu wyższego w Krakowie na posadę radzcy sądu krajowego i przełożonego sądu powiatowego w Liszkach; podania do 15 czerwca b. r.

W uroczystości Najsłod. Serca Jezusowego w ten piątek 6go bm. odprawi się w kościele OO. Jezuitów uroczyste nabożeństwo z odpustem zupełnym. O godzinie 10ej odprawi się suma z wystawieniem Przenajświętszego Sakramentu i z kazaniem, o 6ej wieczorem nieszpory i doroczna procesya ku czci Boskiego Serca, którą poprowadzi X. arcybiskup Teodorowicz przez rynek na plac Trybunalski. Tu przed ołtarzem Najsłodszego Serca po kazaniu i suplikacyach, najdostojniejszy Celebrans odmówi uroczysty akt oddania całego narodu naszego Boskiemu sercu Jezusowemu. Przewielebne Duchowieństwo i wszystkich pobożnych Lwowian zaprasza się niniejszem na ten akt wspaniały.

Uroczystość piątkową poprzedzi trzydniowe nabożeństwo z kazaniem w ten wtorek, środę i czwartek, codziennie o godzinie wpół do 7ej wieczorem.

Nowe strejki. Wczoraj w południe zebrali się na placu Solarni furmani wozów ciężarowych (drążkarze) i uchwalili rozpocząć strejk z dniem 8 bm., jeśli pryncypałowie nie podniosą im płacy do wysokości 2 K. dziennie.

Oprócz tego mają zamiar przyłączyć się do strejku robotników budowlanych przez sympatyę dla nich piekarze.

Oczywiście są to wszystko strachy na Lachy.

Wycieczki chłopów do Krakowa. Wśród obywatelstwa wschodniej Galicyi powstała myśl urządzenia wycieczek chłopów polskich na Rusi mieszkających do Krakowa w celu obudzenia w nich uczucia patryotycznego, pokazywania im naszych pamiątek historycznych, namacalnego pouczenia ich o tem, jak świetną i wielką była przeszłość naszej Ojczyzny, krzewienia w nich miłości do naszych bohaterów historycznych itd. Myśl bardzo piękna, na uczuciu szlachetnem i pełnem ofiarności oparta, ale czy praktyczna, to jeszcze wielkie pytanie. Przypominamy sobie, że w r. 1894 podczas wystawy krajowej we Lwowie wielu obywateli, unosząc się taką samą szlachetnością urządziła swoim kosztem wycieczkę chłopów na wystawę do Lwowa, woziło ich tu, karmiło, odwoziło napowrót i potem zbierało same najbardziej gorzkie owoce swojej ofiarności. Na chłopów we Lwowie czekali socyaliści i przez cały czas ich tu pobytu obrabiali w kierunku swoich teoryj. Czekali na nich i inni agitatorowie i podsuwali im najnikczemniejsze idee, między innemi np. taką, że szlachcicowi dał Wydział krajowy kilka tysięcy zł, żeby on urządził z chłopami wycieczki do Lwowa, szlachcic wydał na to kilkaset zł., a resztę schował sobie do kieszeni. A chłopi zamiast wyśmiać te nikczemne brednie, wierzyli im i trafiało się nawet, że potem zgłaszali się do owych obywateli, domagając się od nich wypłacenia rzekomo zabranej reszty.

Przed kilku laty wśród żon profesorów szkoły dublańskiej powstała myśl filantropijna urządzenia prezentu włościankom. Więc panie te pokupowały rozmaite barchany, płótna, perkale itd., zbierały się codzień przez całą zimę na wspólne zebrania, jedna z nich czytała coś interesującego, a inne tymczasem szyły kaftaniki, koszule, sukienki itd. Na wiosnę zawezwały wszystkie chłopki wsi miejscowej i zaproponowały im, aby sobie każda wybrała co zechce z rozłożonych na stołach prezentów. Chłopki zaczęły przebierać, okropnie były kwaśne, jedna drugiej zazdrościła, że ta to wzięła a nie tamto itd., kłaniały się niby to i dziękowały ale odeszły pozabierawszy te prezenta z pewnem niezadowoleniem. W jakiś czas potem te ofiarne panie dowiedziały się, że wśród chłopów obiega taka pogłoska, że oto cesarz przysłał mnóstwo ślicznych sukien dla rozdania chłopom, panie profesorowe szkoły dublańskiej pozabierały sobie najpiękniejsze, a wybiórki oddały chłopkom.

Kiedyś do Sanoka przyjechała jakaś trupa polska i dawała „Kościuszkę pod Racławicami“. Jeden z młodych szlachciców, chcąc obudzić w chłopach swojej wsi, leżącej pod Sanokiem, uczucia patryotyczne, zabrał ich wszystkich i zawiózł swojemi furami na to przedstawienie, zakupił bilety za swoje pieniądze, dał im jeszcze chleba, kiełbasy i piwa i odwiózł swoim kosztem do wsi. Zacierał ręce z radości poczciwy obywatel i myślał, że spełnił czyn piękny. W kilka dni potem chłopi przyszli i domagali się każdy po parę fur drzewa z lasu. Więc szlachcic powiada: „Dobrze, ale jak mi to odrobicie?“ „Ano, ta my już odrobiliśmy“, odpowiadają chłopi. „W jaki sposób?“ „Ano przecie jeździliśmy na tyjater i straciliśmy pół dnia dla pana“.

Takie to są następstwa wszelkich sentymentalnych pomysłów. Chłop nasz jest realistą do szpiku kości, rozumie tylko realne uczucia, realne dążności, realne projekta i plany. Jeżeli widzi, że ktoś swoim kosztem robi coś dla niego, to przedewszystkiem pyta się, jaki on ma w tem cel, bo nie jest w stanie wyobrazić sobie, że ktoś może komuś robić coś z jakichś idealnych pobudek. My przeto sądzimy, że wszelkie takie sentymentalne pomysły mogą się zwrócić raczej przeciwko nam, aniżeli poprzeć i wzmocnić nasze stanowisko wśród włościan.

† Alfred hr. Łubieński. Od znakomitej naszej powieściopisarki, piszącej pod pseudonimem „Alces“ utrzymujemy następujące wspomnienie pośmiertne: Dnia 10 maja b. r. zmarł, jak to już donosiliśmy, w Krakowcu w 25-ym roku życia, Alfred hr. Łubieński.

Zdrów, wesół, wyszedł z domu i nie wrócił doń więcej! Wróciło ciało jego, ale on, ten syn jedyny i ukochany, duma ojca, całe umiłowanie, pociecha i nadzieja matki, ta cała przyszłość serc rodzicielskich, on już nie wrócił i nigdy nie powróci, by im powiedzieć: Niech Wam pociechą, utuleniem, będzie przeświadczenie, że spokój, szczęśliwość moją wieczną, okupujecie tą wielką, bezbrzeżną boleścią, jaka spadła na Wasze serca... Śmierć ś. p. Alfreda tak głębokie i ogólne zrobiła wrażenie, tak wstrząsnęła każdym, który go znał choć trochę, że należy mu się kilka słów pamięci od nas, wpośród których z dziecka wyrósł na młodzieńca, dorastał na mężczyznę, w chwili, w której cicha burza niezbadanych wyroków bożych powaliła nim jak młodym dębem.

Patrząc na tę krasą urody i wiosny życia opromienioną postać, którą śmierć w kamienny przybrała spokój, tyle bujnych pragnień zwarzyła, tyle słodkich nadziei zdmuchnęła, mimowoli nasuwa się pytanie: dlaczego Najwyższy zarządził ten zbiór przedwczesny ziarna, które zaledwo zbliżało się do dojrzenia i nie wydawszy jeszcze plonu,

ściętem zostało? A po ś. p. Alfredzie spodziewać się można było zbioru dodatniego. Była to natura ujmująca serca, bo serdeczna i prosta, szlachetna, marząca i myśląca, a przytem obowiązkowa i czynna. Natura polska w najpiękniejszem tego określenia znaczeniu, religijna i rycerska, odważna i dobra i kryjąca w tajnych zakątkach duszy tyle tkliwości, tyle uczucia! Którąkolwiek ścieżką przeszedł w swej krótkiej życiowej podróży, na każdej zostawił najsłodsze, najlepsze wspomnienie, na każdej jednał sobie serca ludzkie, czego nawet i pogrzeb jego był dowodem. Ś. p. Alfred był porucznikiem 3-go pułku ułanów. Trumnę młodzieńca w zbitym szeregu otoczyli koledzy wojskowi, a wprost rozrzewniającym był widok ułanów jego plutonu, którzy, poprzedzając wóz żałobny, [illegible] przełożonego, [illegible] wzruszenie sprawiały tłumy ludu wiejskiego przybyłe [illegible] z Krakowca, by pożegnać „panicza", w którym przywykli widzieć już przyszłego pana, który im nigdy nie szczędził, nietylko rady i pomocy w potrzebie, ale i dobrego słowa i uśmiechu. Nasz lud wprawdzie prędko zapomina o pomocy materyalnej, ale niewątpliwie zostanie na długo w jego pamięci obraz tej smukłej, wdzięcznej postaci, tych oczu marzących, niekiedy smutnych, które z życzliwością i ciepłem na świat i ludzi patrzyły! Oprócz rodziny i wojskowości zebrało się bliższe i dalsze sąsiedztwo, dając tą, jaka w każdym [illegible] dowód głębokiego żalu, jaki ta śmierć przedwczesna w sercach ich wywołała, głębokiego zrozumienia boleści rodziców, dla których niejedne usta nie znalazły i nie śmiały wymówić słowa pociechy. Osierocił nas wszystkich ś. p. Alfred — odszedł, nieświadom ile bolu sprawi, ile łez zabierze. Osierocił dom, rodzinę, pułk swój, przyjaciół i sąsiadów, osierocił lud i ziemię, którą kochał gorąco i na której pracować pragnął, osierocił kraj, którego miał zostać chlubą i ozdobą.

Niechże ta boleść, te łzy, ten żal, wzniosą mu trwały pomnik w sercach ludzkich i uczynią mu lekką ziemię, w której spoczął.

Marya Hagen.

Z Rodatycz nam piszą: Wielebna Antonina Mirska przełożona Zakładu św. Teresy we Lwowie i właścicielka dóbr Rodatycze nietylko, że wymurowała tam przepiękny kościół własnym kosztem wydawszy na to około 100.000 koron, ale nadto darowała piękny murowany dom na założenie Kółka rolniczego i czytelni. Aby zaś wyzyskiwanej ludności przyjść z materyalną pomocą postarała się o założenie w Rodatyczach Spółki oszczędności i pożyczek systemu Raiffeisena i darowała na ten cel 2.000 koron. Kasa ta na nowy rok założona bardzo pięknie się rozwija dzięki opiece Wielebnej Matki Mirskiej, bo za czas pięciu miesięcy pozyskała blisko sto członków i ma przeszło 18.000 koron w obrocie. To też lud nie ma wyrazów na okazanie wdzięczności swej dobrodziejce. — Cześć zacnej Pani i wzorowej obywatelce, a przykład Jej oby znalazł naśladowców.

Wydział krajowy ogłasza: W czasie od 14 do 24 lipca 1902 r. odbędzie się w myśl uchwały Wydziału krajowego z dnia 20 maja 1902 w Krakowie VI praktyczny kurs nauki dla kasyerów i członków zarządu Spółek oszczędności i pożyczek (syst. Raiffeisena). Nauczyciele ludowi będą mieli pierwszeństwo w przyjęciu na ten kurs. Kandydaci niezamożni mogą uzyskać stypendya (zasiłki) od Wydziału krajowego po 50 koron. Niestemplowane podania należy wnosić do biura patronatu dla spółek oszczędności i pożyczek przy Wydziale krajowym we Lwowie najpóźniej do dnia 20 czerwca 1902 r.

Zamach na nauczycielkę. Rosyjska ajencya telegraficzna donosi, że uczeń 3 klasy gimnazyalnej w Batum, Demetrij Kwachadze, zadał nauczycielce francuskiej, Arnoldi, cios nożem w piersi. Arnoldi w kilka godzin skonała.

Zamordowanie dziecka. U fabrykanta ram Sommersteina w Tarnopolu służyła mamka. Wczoraj rano wyszła z powierzonem swej opiece dzieckiem z domu. Gdy po upływie kilku godzin nie wracała, zaniepokojeni rodzice zawezwali żandarmeryi z prośbą o poszukiwanie zaginionej mamki z dzieckiem. Żandarmerya wyszukała mamkę, ale bez dziecka. W śledztwie zeznała ona, że dziecko zamordowała i zakopała w polu. We wskazanem przez nią miejscu znaleziono zwłoki. Jaki był powód morderstwa, wyjaśni rozprawa sądowa.

Wycieczki do Krakowa. W *Czasie* czytamy: Pp. Obertyńscy, właściciele dóbr Nowe Sioło pod Kulikowem, zamierzają urządzić szereg wycieczek Mazurów, osiadłych na Rusi, do Krakowa. Piękny cel tłomaczy się sam przez się. Wobec stosunków, panujących na Rusi, wobec zanikania polskiego elementu w tamtych okolicach, podniesienie ducha polskiego w Mazurach, ciężkich warunkach z Rusinami, a najczęściej pozbawionych swego kościoła, przedstawia się jako znakomity środek utrzymania tego, co nasze. Pierwsza wycieczka stanie w Krakowie 14 czerwca. Mamy nadzieję, że znajdą się w Krakowie środki i ludzie do podjęcia gości i że piękna myśl pp. Obertyńskich spotka się z gorącem uznaniem i skuteczną pomocą.

Chacyle. W jednem z pism warszawskich znajdujemy następujący charakterystyczny opis z życia żydowskiego podany przez naocznego świadka.

„Z jednej strony lokalu, jaki zajmowałem, miałem bardzo miłe sąsiedztwo, złożone z żyda [illegible], ożenionego z wdową, lat przeszło 50 liczącą, z drugiej strony mieszkał młody jeszcze żydek kawaler, rodzony brat pierwszego mego sąsiada. Choroba dokonała swego dzieła i chory zmarł. Wkrótce po pogrzebie pięćdziesięcioletnia wdowa po zmarłym [illegible] trzeci [illegible] znalazł, [illegible] nie [illegible] brat jej [illegible] „chacyle", czyli pozwolenia.

Ów brat, a sąsiad mój, żydek [illegible] chciał [illegible] jednak [illegible] więc [illegible] do ka[illegible] jeszcze [illegible] jej [illegible] może, bo też [illegible] „chacyle".

[illegible] tylko [illegible], owo „chacyle".

[illegible] do synagogi [illegible] żydów [illegible] się [illegible] na niej [illegible] a rabin [illegible] w tym [illegible] pomię[illegible].

Następnie [illegible] sześć [illegible] „chacyle", obowiązana jest wielkim i małym palcem prawej ręki pęki rozplątać, zdjąć trzewik, rzucić go w twarz brata zmarłego męża i plunąć mu kilkakrotnie w szlachetne oblicze. Dopiero po takiej egzekucyi brat zmarłego męża zwalnia się od wszelkich zobowiązań względem bratowej, a ta ostatnia uważa się za kobietę nadal nie należącą do rodziny zmarłego męża.

Naturalnie młody żydek, sąsiad mój, miał nieco racyi, opierając się takiej inkwizycyi. Nic jednak nie pomogło, bo wdowa żądała „chacyle", a rabin i kahał — wykonania tego, co nakazują przepisy talmudu.

Zapytywałem czy nie ma sposobu uniknięcia tak ubliżającej godności człowieka ceremonii, nie mającej nic wspólnego z religią samą. Odpowiedziano mi, że obrzęd ten może być zastąpiony ugodą na gruncie materyalnym, ale żądania wynagrodzenia bywają tak wielkie ze strony żydów, że niejeden żydek woli, aby mu w twarz napluto i trzewikiem dano, aniżeliby miał zapłacić żądaną sumę.

Stan powietrza. T. o g. 6 rano + 15, w poł. + 21 R. Bar. 769. Podnosi się. Pogodnie.

Aforyzmusy Lola Kindermetha.

Miłość jest całkim jak jajki — długo nie może si trzymać w świżym stani.

Filozofować to si znaczy tak miślić, aby z miśli wymiślić taki miśli, chtóry niemiślący miśliciel nawet naumyślni nie wymiśli.

Kto rano wstaje, ten pewni nie umarł w nocy.

Repertuar teatru miejskiego we Lwowie. Dziś we wtorek po raz 3 „Wieczór Trzech Króli" komedya w 5 aktach (8 obrazach) W. Szekspira.— We środę po raz 3ci „Wazon japoński" komedya w 3 akt. Pawła Bilhauda i M. Hennequina.

Literatura i sztuka.

Jezuici w Polsce 1555—1773. Pod tym tytułem wyszło we Lwowie 1900—1902 roku obszerne trzytomowe dzieło znanego historyografa Jezuitów, Masonów i Nihilistów, ks. St. Załęskiego T. J. Tom I str. XVI i 815, tom II str. XVI i 762, tom III str. XIX i 1244 z dwiema tablicami i mapą zakonną. Papier piękny t. z. ministeryalny, druk cicero większe łatwe do czytania, nakład kosztuje blisko 11.000 koron. Cena w księgarniach 36 koron.

Materyały do tego dzieła zbierał autor przez lat 32 w bibliotekach i archiwach: w Rzymie, Paryżu, Berlinie i Wiedniu, w Krakowie, Przemyślu i Lwowie, w Gdańsku, Toruniu, Brunsberdze, Królewcu i Poznaniu, a nadto miał pod ręką bogate archiwa zakonne. Pisał zaś to dzieło przez lat 7 od 1895—1902.

Jaki cel dzieła? Podwójny.

1. Chciał autor, aby Jezuici polscy mieli swoją historyę i znali ją. Cel ten osiągnięty, trzy tomy zawierają istotnie całkowitą historyę polityczno-kościelną zakonu w Polsce; tom IV., nad którym autor teraz pracuje i wyda 1904 roku, opowiadający dzieje pojedyńczych kolegiów i domów jezuickich w Polsce, będzie dopełnieniem i komentarzem tamtych. W osobnym tomie V. opowie autor dzieje Jezuitów w porozbiorowej Polsce aż do r. 1900, i wyda go, jeżeli Bóg życia pozwoli, 1907 roku. Będą więc mieli Jezuici polscy historyę swoją tak obszerną i zupełną, jakiej dotąd nie mają ich bracia hiszpańscy, francuscy, włoscy, niemieccy itd. — i już teraz czytają ją pilnie po kolegiach i domach do stołu *(ad mensam)* i prywatnie. A jest to rzetelna historya, nie panegiryk. *„Noli scribere encomia, sed historiam Societatis"* nie pisz pochwał ale historyą zakonu, powtarzał autorowi O. jenerał Martin, 1894 w Fiesole i w Rzymie, tego się też polecenia autor wiernie trzymał.

Zamiarem było autora dać poznać społeczeństwu polskiemu Jezuitów na tle dziejów polskich i samychże dziejów polskich ważniejsze momenta, i to na podstawie poważnych źródeł i najnowszych opracowań historycznych, inaczej bowiem niepodobna zrozumieć i ocenić Jezuitów w Polsce i ich działalności wszechstronnej. Byli przecie i na dworach królów i magnatów, i w kuryach biskupich i w obozach i więzieniach i szpitalach, pracowali na ambonie i w szkole, słowem i piórem, w stolicach, miastach, miasteczkach, wioskach, puszczach i na kresach, jakże ich w oderwaniu od tych wszystkich czynników dziejowego życia Polski, *quasi in abstracto*, badać, sądzić, potępiać lub chwalić, i na prostej kronice zakonnej poprzestać? Nie zapominajmy jednak, że chociaż oni wszędzie byli, działali i pracowali, to przecie ani konstytucyi polskiej oni nie stworzyli, owszem zastali ją już gotową z tronem elekcyjnym, z jednomyślnością sejmów, z wolnością osobistą bez granic; ani na jej dalszy rozwój i wogóle na prawodawstwo polskie, na sejmikach i sejmach wpływu nie wywierali, owszem wadliwości jego skutków sami doznawali — że więc za następstwa „błędnego koła instytucyi polskich" (jak się wyraża Szujski) odpowiedzialnymi ich czynić historya nie może i nie powinna. Tezę tę w ocenieniu Jezuitów fundamentalną, rozwinął i uzasadnił autor dziejowymi wypadkami, stąd powstał szereg rozdziałów, dla których w politycznej historyi Polski miejsce byłoby właściwsze, a które jedną trzecią część dzieła wypełniają.

Rozrost i upadek różnowierstwa, tyle ważna politycznie dla Polski unia religijna Rusi z Rzymem, odrodzenie się świeckiego i zakonnego kleru i rozkwit katolicyzmu w XVII i XVIII wieku — wszystko to nadaje się raczej do historyi Kościoła polskiego, znaleść się jednak musiało w dziele ks. Załęskiego, bo w tem wszystkiem, nie wyłączną, ale niepoślednią rolę mieli Jezuici.

Stan oświaty, uorganizowanie szkół, rozwój nauk i piśmiennictwa na polu zwłaszcza religijnem od połowy XVI wieku, spory i walki korporacyi naukowych — oto przedmiot dla historyi literatury polskiej, ale rozpisać się o nim obszerniej było potrzeba, bo w tym ruchu umysłowo naukowym Jezuici wzięli nader czynny udział.

Nawet społeczno ekonomicznych stosunków Polski nie można było w tem dziele pominąć, Jezuici bowiem mając znaczne fundacye w ziemi, kolegia i realności w miastach, pracując nad wszystkimi stanami Rzpltj, nie tylko zależni byli od tych stosunków, ale na nie wpływali.

Z tych tedy powodów dzieło „Jezuici w Polsce", zwłaszcza podczas długich wieczorów jesiennych i zimowych, służyć może za lekturę historyczno-polityczną, kościelną, literacką a nawet socyalną. Wewnętrzne zwłaszcza dzieje Polski, ustrój jej polityczno-społeczny, tak mało znane ogółowi czytającej publiki, są w tem dziele dosyć obszernie przedstawione, a ci, którzy tom I. i II. czytali, jak X. biskup sufragan gnieźnieński Andrzejewicz, chwalą papier piękny, druk wielki i styl łatwy, iż się poważne, historyczne dzieło czyta, jakby powieść jaką.

Tyle o genezie i treści dzieła. Czy ono doskonałe, czy odpowiada wymaganiom dzisiejszej „metody" historycznej, czy wolne od błędów? Nie twierdzimy tego, ale jako pismo codzienne, nie możemy się zapuszczać w szczegółową ocenę i krytykę historyczną, rzecz to fachowych pism peryodycznych. Nam chodziło o powiadomienie czytelników naszych, że takie dzieło wyszło, i co chciał autor niem osiągnąć.

* **Cezary Popławski:** „Fatum". Warszawa, drukiem M. Arcta 1902.

W powyższej broszurce wywodzi autor, że starożytne pojęcie fatum, utworzone przez Greków, zamieniło się z czasem w determinizm naukowy, to znaczy w pewność, że wszystkie czynności ludzkie zależne są od nieubłaganych praw przyrody. Idąc jednakże szlakiem tej myśli, autor porzuca i determinizm, zapuszcza się w gęstwinę pomysłów mistycznych, staje na stanowisku du Prela, krytykuje dualizm i dochodzi do wniosku, że „dopóki dusze ludzkie drogą nieskończonego rozwoju nie zespolą się w wiekuistem obcowaniu z bytem pierwotnym, dopóty każdy przejaw tego ostatniego, działający w duchu nieznanych nam celów i poza obrębem naszej świadomości i wiedzy, będzie właśnie ową siłą fatalną, zdolną sprowadzać nas z obranej drogi i krzyżować nasze zabiegi".

Ocenę tak samych poglądów autora jakoteż ich oryginalności, pozostawiamy fachowym filozofom, konstatujemy tylko, że broszurka jest napisana interesująco i z pewnym polotem.

Część ekonomiczna.

§ **Wiedeń** 3 czerwca. Na wczorajszy targ spędzono bydła rogatego, przeznaczonego na rzeź, ogółem 4306 sztuk. W tem było z Galicyi 576, z Bukowiny 26. Przebieg targu był oziębły. Ceny niezmienione. Niesprzedano 149 sztuk. Wołów z Galicyi i Bukowiny sprzedano: 117 sztuk po 56 do 63, 246 sztuk po 64 do 69, 202 sztuk po 70 do 74 koron, — po — do — koron, buhaje podtuczone bez różnicy pochodzenia kupowano po 54 do 67, krowy podtuczone po 52 do 66, bydło chude po 42 do 50 kor., wszystko licząc za centnar metryczny żywej wagi.

Z kolei. Wschodnio-północno-zachodnio-austr. Związek kolejowy. Z dniem 1 czerwca 1902 wchodzi w życie: dodatek I do 2 zeszytu części II taryfy ważnej od 1 stycznia 1901 i dodatek I do 6 zeszytu II części taryfy ważnej od 1 stycznia 1902.

Austr.-węg.-bawarski Związek kolejowy: Z dniem 1go czerwca 1902 wchodzi w życie nowa taryfa część IV zeszyt 4 zawierająca ceny przewozowe dla transportów drzewa z Galicyi i Bukowiny do Bawaryi.

Z targów zbożowych.

Wiedeń, 1 czerwca.

(Z). Nareszcie nastała tak gorąco upragniona pogoda i wlała nowe nadzieje w rolników, którzy już zaczęli liczyć się z ewentualnością, iż będziemy mieli w tym roku nieurodzaj. Wedle licznych doniesień z prowincyi ostatnie dwa dni ciepła i pogody poprawiły znakomicie stan tych zasiewów, których rozwój powstrzymany został skutkiem długotrwałego zimna. Ta nagła zmiana aury powstrzymała w jednej chwili rozwijający się już od prawie dwóch tygodni prąd zwyżkowy cen zboża na termina jesienne. Wszelako ceny zboża z bezzwłoczną dostawą drożeją z dniem każdym. Pszenica gotowa jest dziś o 35 halerzy na 50 kilo droższa niż przed tygodniem, żyto podrożało o 15, kukurudza i owies o 10 halerzy. Ten ruch zwyżkowy w cenach gotowego ziarna odbywa się u nas na własną rękę w przeciwieństwie do targów zagranicznych, gdzie właśnie od kilku dni przeważa słaba tendencya. Oferty na pszenicę są tak nieznaczne, że aczkolwiek i młyny i inni odbiorcy ile możności wstrzymują się ze zakupnami, mimo to popyt jest kilka razy większy od podaży. Tych kilka partyi, jakie wczoraj oferowano na sprzedaż, rozkupiono zaraz w pierwszej chwili jeszcze przed rozpoczęciem oficyalnych obrotów.

Zdaje się nie ulegać wątpliwości, że zanim zboże z tegorocznych żniw zwiezione zostanie do gumien, nie zostanie ani ziarnka pszenicy zeszłorocznej. Stan zapasów zboża, nagromadzonych w dniu wczorajszym w domach składowych gminy miasta Wiednia, był następujący: Pszenicy było 4093 centnarów metrycznych, żyta 30.778, jęczmienia 8322, owsa 50.041, a kukurudzy 39.060 centnarów.

Urzędowe notowania cen były wczoraj następujące: Za pszenicę cisańską (77 do 80 kilo) płacono 9·65—10·10, za banatkę (74 do 78 kilo), 9·20—9·75, słowacką (76 do 80 kilo) 9·40 do 9·90, z doliny Morawy (77 do 79 kilo) 9·50 do 9·70. Cena pszenicy na jesień wahała się między 7·99 a 8·07.

Za żyto płacono: słowackie (72 do 75 kilo) 7·70—7·95, rozmaite węgierskie (71 do 74 kilo) 7·60—7·85, austryackie (72 do 75 kilo) 7·75—8·05, rumuńskie i serbskie 7·40—7·70, żyto na maj-czerwiec 7·60—7·65, na jesień 7·02½—7·05.

W jęczmieniu i w tym tygodniu nie było żadnych obrotów, a notowania cen są nominalne. Za morawski jęczmień płacono 8·—8·75, słowacki 7·30—8·50, ze stacyi nad środkowym Dunajem 7·—8, północno-węgierski 7·—8·25, cisański 6·85—7·75, jęczmień na paszę 6·—6·25.

Za owies w pośledniach gatunkach płacono 7·45—7·55, średnie gatunki 7·55—7·75, prima 7·80—8·15, owies na jesień 6·13—6·14.

Kukurudzę płacono 5·50—5·60, Cinquantin 6·25—6·65, kukurudzę na lipiec-sierpień 5·48—5·51.

TELEGRAMY „PRZEGLĄDU".

(Depesze poranne).

Wiedeń 3 czerwca. Jak wiadomo, na mocy ustawy z 8 lipca 1901 r., która podwyższyła podatek wódczany o 20 hal. na hektolitrze, dochód z tego źródła, preliminowany w rocznej kwocie 19·2 mil. kron, miał być rozdzielony między kraje podług ustawowego klucza. Obecnie, kiedy minął pierwszy okres od września do 31 grudnia 1901, prowizoryczne obliczenie już ukończno i można przystąpić do rozdzielenia tego dochodu.

Na okres wspomniany preliminowano dochód 6·4 milionów koron. W rzeczywistości dochód ten wynosił 7,957·000 koron, wliczając w to już podatek, zapłacony za zapasy spirytusu, które znajdowały się dnia 1 września, a który wynosił 2,232.000 koron. Z ogólnego dochodu za powyższy okres otrzymają: Galicya 2,255.000, Czechy 1,496.000, Morawa 1,255.000, Szląsk 422.000, Bukowina 250.000 koron i t. d. Ponieważ w myśl ustawy rząd był upoważniony do udzielenia krajom zaliczek na ten dochód, a zaliczka, udzielona przez państwo, wynosi ogółem 5,909.000 koron, przeto obecnie wydano polecenie do krajowych Dyrekcyi skarbu, by resztę dochodu w wysokości 2,047.000 koron, również wypłaciły kasom krajowym.

Paryż 2 czerwca. *Matin* pisze o pokoju w Transwaalu, że Europa, której sumienie było bardzo obciążone, obecnie może swobodnie odetchnąć. Boerowie zajmą niepoślednie miejsce w historyi bohaterskich narodów.

Paryż 3 czerwca. Tutejsza rada miejska uchwaliła wysłać depeszę do Krügera z wyrazami uznania dla dzielnej postawy Boerów.

Londyn 3 czerwca. Tu i na prowincyi panuje ogromna radość i entuzyazm z powodu zawarcia pokoju. Wiele szkół zamknięto. Po ulicach przeciągają pochody. Niektóre miasta illuminowano.

Londyn 3 czerwca. Warunki pokojowe podpisali: Ze strony Anglii Kitchener i Milner; za Oranię: Stein, De-Wet, Olivier i Herzog; za Transwaal: Szalk-Burgher, Reitz, Ludwik Botha i Delarey.

(Depesze popołudniowe).

Londyn 3 czerwca. Król Edward otrzymuje z wszystkich stron świata depesze z życzeniami z powodu zawarcia pokoju. W angielskich koloniach panuje wszędzie radosne usposobienie z powodu zawarcia pokoju.

Wiedeń 3 czerwca. Oddział celno-eksportowy przybocznej rady przemysłowej uchwalił na wczorajszem posiedzeniu rezolucyę, w której podnosi, że mniejszem złem byłoby dla Austryi zerwać zupełnie wspólność celną z Węgrami, niż zawrzeć z nimi złą ugodę.

Paryż 3 czerwca. Gdy prefekt policyi paryskiej Lepine podążał wczoraj popołudniu do szpitala, by odwiedzić tam pewnego agenta policyjnego, który w bójce ulicznej został zraniony, ktoś z tłumu stojącego przed szpitalem, strzelił do niego kilka razy z rewolweru. Prefekt nie został jednak raniony.

Paryż 3 czerwca. Prawie wszyscy robotnicy i robotnice rządowych fabryk tytoniu i zapałek z prowincyi przyłączyli się do uchwały robotników takich samych fabryk w Paryżu, według której rozpoczęto powszechny strejk.

Pretorya 3 czerwca. Przeważna część wodzów boerskich opuściła miasto, aby rozwiązać swe oddziały, co potrwa zapewne około 14 dni.

Londyn 3 czerwca. W Izbie lordów złożył prezydent ministrów Salisbury podobne oświadczenie o zawarciu pokoju, jak Balfour w Izbie niższej. Rosebery złożył rządowi życzenia z powodu ukończenia wojny, wyraził nadzieję, że odtąd zacznie się nowa epoka pracy wśród pokoju i rozwinie się handel i przemysł w Afryce południowej.

Rada państwa.

Wiedeń 3 czerwca. Na początku posiedzenia zwrócił się poseł Breiter z zapytaniem do prezydenta Izby, czy nie zechciałby wezwać imieniem Izby prezydenta ministrów, aby o wczorajszych morderstwach, popełnionych we Lwowie, dał Izbie sprawozdanie, by Izba wiedziała, co ma dalej przedsięwziąć.

Mówca nie chciał wczoraj mięszać się do dyskusyi, lecz czekał na informacye autentyczne; obecnie sądzi, że rząd jest już chyba w posiadaniu dostatecznych informacyj. Wskazuje na doniesienia dzienników.

Hr. Vetter oświadcza, że zawiadomi prezydenta ministrów o tem życzeniu. Następnie przeszła Izba do porządku dziennego, tj. dalszego ciągu dyskusyi nad przedłożeniem o ulgach dla tanich pomieszkań robotniczych.

Jak słychać, Koerber ku końcowi posiedzenia złoży oświadczenie o wypadkach lwowskich.

* * *

Biuro korespondencyjne nam donosi:

Linia telefoniczna Lwów-Kraków-Wiedeń jest dziś z użytku abonentów zupełnie wyłączona, gdyż zajęta przez t. zw. *Staatsgespräche* — tak, że nawet połączenia *dringend* dostać nie można. Jest tak od godziny 12 do tej pory (1 sza) a więc wtedy, kiedy telefonu najwięcej potrzeba.

HOTEL GEORGEA

Przyjechali dnia 3 czerwca. Hr. W. Dzieduszycki z Jezupola. Hr. M. Romer z Brzuchowic. Sz. Jurkiewicz z Zakopanego. J. Wolf z Klein Marzen. W. Cyga z Tarnowa. H. Langer z Sternbergu. J. Ehlgiesei z Czerniowiec. J. Kozierowska z Żepowic. L. Podlewski z Bajkowiec.

HOTEL EUROPEJSKI
ALBERT SZKOWRON.
Lwów — Plac Maryacki

Przyjechali dnia 3 czerwca. Hr. M. Dunin Borkowski z Mielnicy. P. Kotarski i J. Rohsek z Krakowa. B. Jocz z Krzywcza. A. Rieger z Mielca. Dr. W. Werbenec z Poli. K. Marmorosz z Karowa. W. Polański z Rudnik. E. Barber z Suczawy. Major Tiring z Mostów. A. Horodyski z Kociubiniec. J. Zdanowicz ze Schodnicy. R. Janicki z Berezowicy. K. Jaworski z Ostrowczyka. J. Sochanik i J. Kopczyński ze Zbaraża. M. Müller z Berlina.

HOTEL FRANCUSKI
Plac Maryacki — Lwów.

Pierwszorzędny hotel z komfortem urządzony, pilzneńska restauracya z pokojem do śniadań, cukiernia w miejscu.

Przyjechali dnia 3 czerwca. J. Wartanowiczowie z Zazuliniec. W. Kraiński z Perespy. T. Ujejski z Sambora. H. Goldlust z Czerniowiec. J. Morawski ze Lwowa. J. Wysocki z Jarosławia. O. Horodyska z Strzelisk. J. Dereczowie i M. Lekczyńska z Radziechowa. D. Gross z Budapesztu. J. Lebiedzikowie z Borysławia. Z. Styber z Stryja. H. Apoznański z Urycza. E. Spitzer i H. Habl z Ołomuńca. J. Gajda z Kossowa. J. Zubkowie ze Zborowa.

Nadesłane.

Rubryka ta nie pochodzi od Redakcyi, nie bierze też ona za nią na siebie żadnej odpowiedzialności.

Jaśnie Wielmożny Pan
JÓZEF NIKOROWICZ
właściciel dóbr Ulwówek (Sokalskie).

Czuję się zobowiązaną w imieniu całej rodziny złożyć Ci Jaśnie Wielmożny Panie **głębokie podziękowanie** za Twoje trudy i hojną pomoc przy oddaniu ostatniej usługi siostrze mej ś. p. Annie Hierowskiej.

Emilia z Paszkowskich Link.

Agence consulaire de France à Léopol

Une souscription en faveur des sinistrés de la Martinique est ouverte au Consulat, où les dons seront reçus de 10 à 11 et de 4 à 5 heures.

Wiedeń 3 czerwca. (Giełda towarowa). Cukier (spokojnie) 17·15. Nafta galicyjska bez zmiany. Spirytus 37·80.

Berlin 3 czerwca. (Zamknięcie giełdy). (Podług obliczenia procentowego). Banknoty austryackie 85·20. Spirytus 34·20.

Paryż 3 czerwca. (Zamknięcie giełdy). Trzyprocentowa renta 101·60 Mąka („Fleur de Paris") 26·90.

Frankfurt 3 czerwca. (Giełda zagraniczna). Kredyty austryackie 217·25. Koleje państwowe 000·00. Alpiny 000.00. Disconto 189·40. Laura 000·00.

Wiedeń 3 czerwca. (Giełda zbożowa). (Kursa w koronach i po 50 kilogramów). Pszenica na maj-czerwiec 9·50—9·51, na jesień 8·33—8·34; żyto na na maj-czerwiec 7·70—7·75, na jesień 7·11—7·12; owies na maj-czerwiec 7.48—7·50, na jesień 0·00—0·00; kukurudza na maj-czerwiec 5·40—5·42, na czerwiec-lipiec 0·00—0·00, na lipiec-sierpień 5·43—5·44, na sierpień-wrzesień 0·00—0·00, na wrzesień-październik 0·00—0·00. Rzepak na sierpień-wrzesień 12·10—12·20, na wrzesień-październik 0·00—0·00. Olej rzepakowy na wrzesień-grudzień 0.00—0·00 Tendencya: silna. Pogoda: pochmurno.

Wiedeń 3 czerwca. Kursa giełdowe.

Losy: a) procentowe:

Austr. zakł. kr. z obl. pr. z r. 1880	3%	267.--
" " " " " " 1889	3%	263·25
Tow. żegl. na Dunaju 100 zł. m.k.	4%	—.—
Uregulow. Dunaju z r. 1870 100 zł.	5%	287.—
Węg. Banku hipotecznego po 100 zł.	4%	256.—
Pożyczka serbska prem. po 100 fr.	2%	82.75
Tureckie obl. prem. kolej po 400 fr.		106·75

b) bezprocentowe:

Budapeszteńskie (Basilica) 5 zł. 19·10, Zakł. kred. dla h. i p. po 100 zł. 438.—, Clary 40 zł. m. k. 183.00, Pożyczka m. Insbruku 20 zł. 82.00, Losy m. Krakowa 20 zł. 74.50. Pożyczka m. Lublany 20 zł. 52.—, Ofen 40 zł. 185.00, Palffy 40 zł. m. k. 186.00, Czerw. krzyża austr. 10 zł. 57.—, Czerw. krzyża węg. 5 zł. 29·25. Losy fund. arcyks. Rudolfa 10 zł. 80.—, Salma 40 zł. m. k. 235.—, Pożyczka salcburska 20 zł. 76.25, Pożyczka St. Genois 40 zł. m. k. 264.00. Losy komunalne m. Wiednia r. 1874 428.—.

Lwów 3 czerwca. (Z izby handlowej).
Obliczenie w walucie koronowej.

Akcye za 100 K.: Kolej gal. Karola Ludwika po 420 Koron 420·00 do 424·00, Kolej Lwowsko-Czern.-Jaska po 400 kor. 564.00 do 570.00. Banku hipotecznego po 400 kor. 545.00 do —·00. Akcye garbarni w Rzeszowie po 400 kor. —·— do 100·—. Tow. budowy wagonów w Sanoku po 500 koron 000·— do 850.—. Banku dla handlu i przemysłu po 400 k. 850.— do 880.—.

Listy zastawne za sztukę: Banku hipot. galic. 5 proc. los. w 50 lat. z 10 proc. prem. 109·70 do 000·00, 4 i pół proc. los. w 50 lat 100·— do 000·00, 4 proc. los. w 60 lat 95·80 do 96·50. Banku kraj. 4 i pół proc. los w 51 lat 101.00 do 101.70 Banku kraj. 4 proc. los w 57 lat 97·00 do 97·70. — Tow. kred. gal. ziemskie 4 proc. (I emisya) 95·80 do 96·50, 4 proc. los w 41 i pół latach 95.80 do 96.50, 4 proc. los w 56 lat 96·80 do 97.00.

Obligi za sztukę: Gal. fund. propinacyjnego 4 pro 98·50 do —·—. Bukowińskiego fund. propin. 5 proc. 102·50 do —·—. Kom. Banku kraj. 5 proc. (II emisyi) 102·80 do 103·00. Kolejowe lokalne Banku krajowego 4 procentowe po 200 koron 96·80 do 97·00. Pożyczki kraj. z r. 1873 6 proc. —·— do —.—. 4 proc. z 1893 r. 97.20 do 97.90, miasta Lwowa 4 proc. po 200 koron 94·50 do 95·20, 4½% po 200 koron 100·00 do 100·70.

Monety. Dukat cesarski 11·22 do 11·34. Napoleondor 19·10 do 19·30. Rubel rosyjski papierowy 252,50 do 254.50. 100 marek niemieckich 117·10 do 117·30.

Ruch pociągów kolejowych

ważny od 1go maja 1902 roku według czasu środkowo-europejskiego.

Przychodzą do Lwowa:

Z Krakowa: **2.31***, **1·35**, **8·40***, 6·10, 8·50, 5·50 i 9.50*
Z Rzeszowa: 10·25.
Ze Szczerca (od 1/6 do 15/9 w niedz. i święta) 9.32*.
Z Podwołoczysk (na dworzec główny): **2·35**, 8·00, 5·35 10.20*; na Podzamcze: **2·20**, 7·40, 5·11, 10·02*.
Z Tarnopola: 8·35* (na dw. gł.); 3·14* na Podzamcze.
Z Czerniowiec: **12·15***, **1·45**, 6·20, 5·40 i 9·20*.
Ze Stanisławowa: 11·55.
Ze Stryja: 8·10, 1·10, 4·40, 10·50*.
Z Brzuchowic (od 15/5 do 14/9 włącznie) 6.50, 9.12*.
Z Brzuchowic (od 15/5 do 14/9 włącznie w niedziele święta) 8.14, 8.04*.
Z Janowa 7·45, 1·23, 9·25*, 10·03*.

Odchodzą ze Lwowa:

Do Krakowa: **12·45***, **8·30**, **2·55**, 4·15*, 8·40, 6·20*, 11·00*
Do Rzeszowa: 3·30.
Do Przemyśla: 8·25*.
Do Szczerca (od 1/6 do 15/9 w niedz. i święta) 2.00.
Do Podwołoczysk z dworca głównego: **1·55**, 6·30, 9·00* 11·10*; z Podzamcza: **2·09**, 6·48, 9.20*, 11·32*.
Do Tarnopola: 10·40 z dw. głównego i 10·57 z Podzamcza.
Do Czerniowiec: **2·51***, **2·40**, 6·25, 10·30, 10·30*.
Do Stanisławowa: 6·10*.
Do Stryja: 6·35, 9·00, 3·05, 6·35*.
Do Brzuchowic (od 15/5 do 14/9 codziennie) 5.50*, 3.26.
Do Brzuchowic (od 15/5 do 14/9 wł. w niedziele i święta) 2.15, 8.16*.
Do Janowa: 9·15, 1·25, 3·15 6·30*, 10·05*

Uwaga. Pociągi pośpieszne drukowane są literami tłustemi; pociągi nocne oznaczone są gwiazdką. Pora nocna liczy się od godz. 6 wieczór do 5 min. 59 rano.

26)

MATECZKA

POWIEŚĆ

Pawła D'Algremonta.

(Ciąg dalszy).

Henryka spojrzała na ojca wzrokiem niewymownej wdzięczności.

Mérindol był uszczęśliwiony.

Czyż szczęście córki nie było jedynym celem jego życia?

Wtem spostrzegł stojącego księdza Soubirade.

— Jak się masz! — zawołał, podając obie ręce. — A ty nic mi nie mówisz? Czyżbyś zapomniał swego towarzysza z czasów, gdy razem pasaliśmy owce w górach? Tak, widzę to w twych oczach wilgotnych. Więc uściśnij tę dziewczynkę, moją córkę, z którą bezzwłocznie rozpoczniesz naukę religii.

Ksiądz ucałował główę Heni.

Obiad przygotowany był w stołowej sali pałacu.

Mérindol poprowadził Janka i Henię przez kuchnię, w której, zatrzymawszy się w kącie za ogromnym kominem, rzekł do swego syna przybranego:

— Patrz, Janku, oto dawne moje miejsce. Zastanów się chłopcze dobrze i jeżeli masz w swem sercu jaki cel drogi, to pamiętaj o tym kącie. Powiedz sobie nadto, że wolą i pracą dochodzi się do wszystkiego!

Stojąca obok Janka rozpromieniona Henryka uśmiechała się do niego, może bezwiednie, ale jemu zdawało się, że nigdy jeszcze błękitne źrenice jego towarzyszki nie były tak podobnemi do gwiazd, nigdy jeszcze nie wyrażały tyle obietnic i uczucia.

Janek zbladł niezmiernie i tylko wyjąkał:

— Ojcze kochany, gdybyś ty wiedział, co mi przyrzekasz...

— Wiem — poważnie odrzekł Mérindol.

I nie mówiąc o tem więcej, odeszli obejrzeć pałac, tylko Blanka udała się do swego pokoju poprawić tualetę.

Ksiądz Soubirade idąc, rozmawiał z Mérindolem, oboje zaś młodzi, w milczeniu, postępowali za nimi zmieszani.

Jan, liczący dziewiętnaście lat, zrozumiał ukrytą myśl swego dobroczyńcy, ale czy pojęła ją Henryka?

Kto wie i kto potrafi odczytać myśli z czoła dziewczyny najczęściej milczącej, zamkniętej w sobie i zawsze poważnej?

W gabinecie wisiał na ścianie malowany przez Ingresa naturalnej wielkości portret, przedstawiający dziadka Jana w sile wieku, takim, jakiego znali Piotr i ksiądz Soubirade.

— Jaki on podobny!... — zawołał Mérindol.

I gdy obaj pogrążyli się we wspomnieniach czasów dawnych, Henryka, spojrzawszy na portret, zapytała:

— Kto podobny? Ależ to portret nie żadnego nieboszczyka, lecz Jasia: ten sam wzrok uczciwy, czarne, zwijające się w pukle włosy, to samo czoło otwarte... Niech tatuś porówna...

Mérindol spojrzał na portret, następnie na Jana i po raz pierwszy dostrzegł rzeczywiście niezmierne podobieństwo pomiędzy dziadkiem a wnukiem.

— Rzeczywiście, Henryka ma słuszność — odrzekł. — Bądź dobrym, chłopcze, jak on, a również jak on zapewnisz szczęście wszystkim cię otaczającym.

— Musiałby się bardzo zmienić od czasu, jak był moim uczniem — wtrącił ksiądz Soubirade — gdyby to nie nastąpiło.

— Mój Janek jest doskonałym — z przekonaniem rzekła Henryka.

— Cóż dziwnego, wszak jest ostatnim z dzielnego rodu.

— Nie — odrzekł Jan gorąco — jestem dobrym nie dlatego, żem wnukiem tego dzielnego człowieka, lecz z powodu, że naśladowałem ciebie, ojcze ukochany, ciebie, któremu zawdzięczam wszystko i dla którego gotów jestem oddać życie. A ponieważ w żyłach moich płynie krew tego, którego ty kochałeś, więc dziękuję ci w imieniu jego i czczę ciebie!

— Dobrze! dobrze! — mruknął Mérindol, usiłując ukryć wzruszenie. — Robisz wiele hałasu o nic. Nie rozrzewniajmy się. A ty, mój chłopcze, jeżeli sądzisz, że swemi pięknemi słowami skwitowałeś się ze swego długu, to się mylisz. Oczekuję wiele od ciebie... Drogo sprzedaję ja swój towar.

— Co ojciec chce przez to powiedzieć i co może żądać odemnie, czego nie byłbym gotów uczynić czy dziś, czy kiedykolwiek?

— Później, zobaczymy!... Teraz zaś należy przedewszystkiem dostać się do politechniki.

— Margrabia de Verrières do politechniki? — zawołał ksiądz Soubirade zgorszony projektem, obalającym wszystkie jego pojęcia o szlachectwie.

— Tak — odrzekł Piotr spokojnie. — Tutaj pozwolę mu wierzyć, że jest wielkim człowiekiem, że ma prawo, jeżeli przyjdzie mu ochota umieszczać herb swój na drzwiczkach powozów i rogach serwet, jak to czyni ta waryatka „księżna" Mérindol. Ale w Paryżu co innego. Wszystko czego pragnie w życiu, powinien zdobyć wysiłkiem niekiedy nadludzkim, gdyż inni równie inteligentni, równie sympatyczni i równie pragnący zużytkują dla osiągnięcia tego samego celu takąż samą sumę pracy i energii. „Nic nie ma bez trudu" — to dewiza czasów naszych. Jeżeli więc Jan pragnie powozów, pałaców i „innych rzeczy", to musi pierwej stać się robotnikiem, pracującym w pocie czoła.

— Robotnikiem!... za daleko zaszedłeś, Piotrze.

— Nie, Jan ma powołanie do chemii. Być może zrobi jakie odkrycie, które zapewni mu majątek. Czyż w takim razie nie będzie musiał ślęczyć nad książkami, lub pracować jak robotnik piekarski przy piecu? Tak jest, musi pracować i rękami i myślą. Czyż my wszyscy nie jesteśmy robotnikami?

— I będę nim, ojcze kochany! — zawołał Jan z zapałem.

Obiad zastawiony był w sali stołowej, której wielkie okna wychodziły na tarasy zamkowe.

Chociaż była to połowa sierpnia, lecz upał letni łagodzony był powiewem orzeźwiającego powietrza z gór, z których niektóre pokryte były wiecznym śniegiem.

Z okien roztaczał się wspaniały widok na park, za którym sterczały zębate szczyty Pirenejów.

— Jakież to piękne! — zawołała zachwycona Henryka.

Następnego dnia proboszcz rozpoczął z nią zapowiedziane lekcye religii.

Mérindol wychowany w kraju hiszpańskim, a w każdym razie bardzo katolickim, nie lękał się nietolerancyjnych zasad swego przyjaciela.

— Gorliwość religijna właściwą jest kobiecie — mówił. — Owszem, głęboka wiara wzmocni ją i pocieszy.

— Pocieszy? — powtórzył Jan urażony. — Będzie zanadto szczęśliwą i zanadto kochaną, by potrzebowała pociechy.

Mérindol nie chcąc za wiele dawać mu nadziei, dodał:

— Ludzka istota, nawet najwięcej pieszczona, zawsze miewa chwile cierpienia w życiu, choćby z powodu śmierci bliskich jej osób.

Po kilku tygodniach Henryka dostatecznie przygotowana przystąpiła do pierwszej komunii.

Ceremonia z całą uroczystością odbyła się w kościele miejscowym.

Po odprawieniu mszy ksiądz zawołał:

— To najpiękniejszy dzień w mojem życiu! — ale po chwili dodał: — Mylę się, bo dzień, w którym ujrzę cię przybraną w suknię białą i wianek na głowie, będzie jeszcze piękniejszym dla twego starego przyjaciela.

IV.

Pewnego dnia Mérindol oglądał las proponowany mu do nabycia, gdy w tem podbiegł ku niemu, szczekając i pokazując zęby prześliczny pies bonoński.

Mérindol bardzo lubił psy.

— To ty umiesz się tak gniewać? — zawołał.

Psy doskonale umieją poznawać kto je lubi, to też i ten, usłyszawszy głos życzliwy, przypadł do ziemi, zaczął pełzać, łasić się i machać swym wachlarzowatym ogonem.

Prawie jednocześnie zjawił się ubrany w kostyum myśliwski jakiś młodzieniec z nosem orlim, wargami wąskiemi i aroganckim wyrazem twarzy.

Biczykiem uderzył psa i zawołał:

— Ja cię nauczę łasić się do osób obcych!

Pies zaskowyczał z bólu.

Mérindol chciał wstawić się za psem, gdy w tem ktoś zawołał:

— Raul!

I w tejże chwili drugi myśliwy wyszedł z po za drzew.

Piotr nie zdążył jeszcze spojrzeć na niego, gdy ten wyciągnął ku niemu rękę i zawołał:

— To nasz kochany Mérindol! Jakaż przyjemna niespodzianka!...

Mérindol patrzał i nie poznawał człowieka, przemawiającego doń tak poufale.

Pan ten był jednego z nim wieku, to jest liczył lat czterdzieści i był niezmiernie podobnym do myśliwego pierwszego.

(Ciąg dalszy nastąpi)

Redaktor odpowiedzialny: **Ludwik Masłowski.** Papier z fabryki Czerlańskiej. Z drukarni E. Winiarza